

Roberto Perinelli

LANDRU, MORDERCA KOBIET

(„Landru, asesino de mujeres”)



Przełożyła Rubi Birden

„Niewątpliwie najłatwiej prawdziwie im dokuczyć błagając, by spełniły się ich życzenia. Sam diabeł lepiej ukarać ich nie może.”

„Cymbelin” – W. Szekspir

OSOBY:

Landru

Lola – zdobywczy Landru

Noemi – służąca

Lukrecja – inna zdobywczy Landru

Alvarez - kelner

Żona Landru

Komisarz - komisarz policji, Sosa

Sierżant Marta – policjantka

Laura – ostatnia zdobywczy Landru

Letycja- żona Alvareza

PROLOG:

Magnacka rezydencja otoczona zadrzewionym parkiem. Główna sypialnia, na piętrze. Wielkie okno wychodzące na korony drzew. Obficie kwitnące pnącza prawie wdzierają się do pokoju. Poranne słońce rozświetla otoczenie łagodnie i wiosennie. Delikatny wietrzyk porusza firanką z lekkiego materiału.

Lola, kobieta przy kości, siedzi na środku swego ogromnego łóża. Zaniepokojona okrywa prześcieradłami obfite nagości, których nie zakrywa krótka koszulka.

Naprzeciwko niej – bardzo zdyszany Landru. Musiał biec, goniony przez psy i wspinać się po pnączach, żeby móc wejść do pokoju przez otwarte okno. Otrzebuje ubranie. Ogląda nogawki spodni, próbując znaleźć ślady psich zębów. Pod oknem ujadają rozwścieczone psy.

LOLA: Cóż za nieostrożność, proszę pana...! (Landru się nie przedstawia) Wielka nieostrożność! Wspinać się jak małpa, podczas gdy...

LANDRU: (przerywa jej gestem) Proszę pani, proszę... (zadyszka nie pozwala mu dokończyć)

LOLA: Psy są spuszczone! Można wiedzieć co panu przyszło do głowy?

LANDRU: Powiem pani. *(nie udaje mu się wyrównać oddechu)*

LOLA: Co? Co mi pan powie? Że popełnił pan szaleństwo? Panie...?

Landru musi odpowiedzieć, przedstawić się. Wciąż nie może mówić. Podaje jej wizytówkę. Lola w pierwszym odruchu próbuje przeczytać co jest na niej napisane. Nie może. Szuka okularów. Wyciąga rękę i maca stół nocny. Zapomina o prześcieradłach i się odkrywa. Zaniepokojona zaciąga je z powrotem. Wreszcie znajduje okulary i zakłada je, żeby przeczytać co jest na wizytówce.

LOLA: Pan... Renoir?

LANDRU: Renoir, tak, Paul Renoir.

LOLA: Pośrednik handlu nieruchomościami? *(Landru potwierdza ruchem głowy)* zajmuje się pan handlem nieruchomościami?

LANDRU: Tak jak jest napisane. Jak pani przeczytała. Nie mam zwyczaju przedstawiać się nieprawdziwymi danymi.

LOLA: *(oddaje mu wizytówkę)* Dom nie jest na sprzedaż. W żadnym razie. Był, owszem, ale natychmiast zmieniłam zamiar. Prawie od razu. Nie wiem jak pan się dowiedział.

LANDRU: *(odmawia przyjęcia wizytówki, z eleganckim oburzeniem)* Nie wiem po co miałbym mieszać interesy z... *(milknie, pozostawiając niedopowiedzenie)*

LOLA: *(zaskoczona)* Więc?

LANDRU: *(nie chce odpowiedzieć)* Piękna rezydencja.

LOLA: Rodzinne dziedzictwo.

LANDRU: Siedemnasty wiek.

LOLA: Pierwsza połowa siedemnastego wieku. Nieprzebrana ilość pokoi, jak dla samotnej kobiety..., panie... *(zapomina nazwiska)*

LANDRU: Renoir.

LOLA: Renoir. Wie pan, że moje psy mogły pana rozszarpać?

LANDRU: Biegłem bardzo szybko. Brrrrrrr, można wyzionąć ducha.

LOLA: Wystarczyło potknięcie, żeby się pan przewrócił i żeby... Są bardzo ostre!

LANDRU: Tak, ostre. Bardzo ostre bestie. I mają takie wielkie kły.

LOLA: A jak pan wszedł do mojego ogrodu? Furtki są zamknięte na zamki elektryczne.

LANDRU: Były otwarte.

LOLA: Do diabła! To niemożliwe!

LANDRU: Możliwe. Przekupiłem ogrodnika. Każdy ma swoją cenę.

LOLA: Płacę majątek!

LANDRU: Jakie granice ma chciwość? Zna je pani?

LOLA: Och, pańskie pytania są jak ciosy, panie... *(zapomina nazwiska)*

LANDRU: Renoir.

LOLA: Renoir. Jakie to powody sprawiły, że jest pan tutaj, a ja przyjmuję pana w tym stanie, nie wstawszy jeszcze z łóżka?

LANDRU: Serce, moja droga pani, ma swoje racje, których rozum nie zna.

Jak uderzenie obuchem w głowę. Lola zaniemówiła. Landru uśmiecha się triumfalnie, smakując swoje trafienie.

LOLA: Panie...?

LANDRU: Renoir.

LOLA: Panie Renoir, jest pan poetą?

LANDRU: *(z fałszywą skromnością)* Pośrednikiem handlu nieruchomościami, Lolę. Tylko zwykłym pośrednikiem.

LOLA: *(kolejne trafienie)* Zna pan moje imię?

LANDRU: I pani upodobania. Przyniosłem dla pani czekoladki. *(pokazuje pudełko)*

LOLA: Szwajcarskie?

LANDRU: Szwajcarskie.

LOLA: Zna pan mój gust, panie...

LANDRU: Renoir.

LOLA: Umieram z miłości do szwajcarskiej czekolady.

Ale to za wiele dla Loli. Czuje się przyparta do muru i podatna na zranienie. Próbuje się przeciwstawić i zbudować dystans.

LOLA: Spodziewam się, że wie pan również, że dziś wieczorem wyjeżdżam.

LANDRU: Stąd mój pośpiech. Dlatego biegłem i wystawiłem się na niebezpieczeństwa, które... Ale to nic w porównaniu z nagrodą, która mnie czekała.

LOLA: Nagroda?

LANDRU: Nagroda.

LOLA: Jaka nagroda, panie...?

LANDRU: Renoir.

LOLA: Jaka nagroda, panie Renoir?

LANDRU: Pani. Rozmowa. Kontakt.

Nokautujące uderzenie. Lola zamyka oczy, poddaje się.

LOLA: Mamy wystarczająco dużo czasu, panie... *(przypomina sobie nazwisko)* Renoir. Na szczęście mój pociąg odchodzi dopiero po południu. O zachodzie słońca.

LANDRU: Wysłała pani bagaż?

LOLA : *(zdziwiona)* Mój bagaż? Przypuszczam, że tak. To nie moje zajęcie. Służba pewnie już się tym zajęła.

LANDRU: A kosztowności?

LOLA: *(nowe zdziwienie)* Co się dzieje z moimi kosztownościami?

LANDRU: Jak je pani przewozi? Podróżują z panią, czy wsadzili je do jakiejś walizy? Lepiej żeby miała je pani przy sobie. To moja rada. W tych czasach pociągi nie są bezpieczne. Kradzieżom nie ma końca, a kolej nie chce brać za nic odpowiedzialności.

Lola się śmieje. Landru zaniepokojony, nie rozumie co się dzieje.

Lola wkłada ręce pod poduszki i wyciąga małą szkatułkę, którą pokazuje z chytrym uśmiechem.

LOLA: Jadą ze mną.

LANDRU: Doceniam pani przezorność. Doceniam i oklaskuję (bije brawo)

LOLA: *(opiera szkatułkę na swoim wielkim biuście, otwiera ją i rozbłyśkują kamienie szlachetne)* Tu jest wszystko, co najlepsze. I najdroższe.

Landru przybliża się, ogląda z miną znawcy.

LANDRU: Piękne piersi, Lolu.

Lola przerażona upuszcza pudełko i kosztowności wysypują się na łóżko. Zakrywa biust rękami i prześcieradłami.

LANDRU: Odsłoniła mi je pani. Nikt nie jest z kamienia.

LOLA: Niech pan nic więcej nie mówi, niech pan przestanie, panie...!

LANDRU: Renoir.

LOLA: Niech pan przestanie, panie Renoir. Niech pan przestanie, bo umrę ze wstydu. Nawet mój mąż, niech spoczywa w spokoju, nie widział mnie nigdy nagiej. A co dopiero w świetle dnia, z tym okropnym słońcem, które...

Lola przerywa patrząc na Landru, który z najwyższą ostrożnością zbiera klejnoty i wkłada je z powrotem do szkatułki.

LANDRU: Trzeba z tym uważać, moja kochana Lolu. To jest warte mnóstwo pieniędzy. Jedna perełka zagubiona w pościeli...

LOLA: Nie znam ich dokładnej wartości.

LANDRU: Miliony, Lolu. Zapewniam panią.

Landru podaje jej szkatułkę. Lola chowa ją na powrót pod poduszkami.

LANDRU: Moja droga pani, cóż za zabezpieczenie! Najlepsze! Ukryte w pani własnym łóżu, świętym miejscu!

Wykrzykując to Landru cofa się, jakby nagle łóż stało się świętym miejscem, dla niego zakazanym.

LOLA: Przez chwilę myślałam... *(zatyka sobie usta)* Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

LANDRU: Co? Co pani sobie pomyślała, Lolu?

LOLA: Nic. Proszę, żeby pan uznał, że tego w ogóle nie słyszał.

LANDRU: Wolałbym, Lolu, żeby między nami nie było żadnych tajemnic. One byłyby jak przepaść, jak mur, który...

LOLA: Cudownie się z panem rozmawia, panie...

LANDRU: Renoir.

LOLA: Mówi pan tonem, który przypomina mi mojego ojca.

LANDRU: Chcę, wiedzieć, Lolu!

LOLA: *(śmieje się)* Dokładnie jak on. Tak krzyczał, kiedy czegoś wymagał.

LANDRU: A co robił kiedy nie zwracano na niego uwagi? Dalej krzyczał? Czy wychodził trzaskając drzwiami?

LOLA: Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Nie musiał. Pytał jeszcze raz. Nalegał i odpowiadało mu się.

LANDRU: Nalegam więc. Pytam jeszcze raz. Chcę wiedzieć.

LOLA: Pomyślałam, że jest pan zwykłym oszustem, panie...

LANDRU: Renoir.

LOLA: Jak ten Landru, o którym tyle piszą w gazetach.

Landru daje do zrozumienia, że to porównanie go obraża.

LANDRU: Gdzie mam położyć czekoladki? Przyniosłem je dla pani. Nie mam zamiaru zabierać ich z powrotem ze sobą.

LOLA: Wychodzi pan?

LANDRU: Tak jest. Chciałbym życzyć pani spokojnej podróży.

LOLA: Co złego zrobiłam?

LANDRU: Żaden gentleman nie może akceptować podobnych porównań.

LOLA: Myślałam, że to Landru, to prawda. To był ułamek sekundy. Jak nagły błysk. Powiedziałam sobie: to nie żaden pośrednik handlu nieruchomościami, to Landru, który przychodzi żeby...

LANDRU: Nadal mnie pani obraża.

LOLA: Nie, nie! Proszę się nie obrażać. Mówiłam panu, że to było jak błysk. Proszę mi wybaczyć, panie...

LANDRU: Renoir.

LOLA: Panie Renoir, mój kochany panie Renoir, musi mnie pan zrozumieć. Jestem łatwą zdobyczą dla takiego Landru. Jak ranny jeleń w środku lasu, który nie może uciekać. Nawet śni mi się ta możliwość, panie...

LANDRU: Renoir.

LOLA: Panie Renoir. Śni mi się to. To sen który mnie nawiedza nieoczekiwanie, tak jak pan to zrobił dziś rano. Też goniły go psy i też wdrapywał się po ścianie, żeby wejść przez to okno. Dawał mi wizytówkę, na której nie było napisane Landru, tylko... Nie pamiętam teraz. Ale to było wymyślone nazwisko, fałszywe.

LANDRU: To koszmar.

LOLA: I przynosił m czekoladki. Duże pudełko czekoladek!

LANDRU: To tylko zły sen.

LOLA: Mimo to byłam bardzo szczęśliwa, panie... (*przypomina sobie nazwisko*) Renoir! Bardzo szczęśliwa! W którymś momencie, którego nie mogę dokładnie określić, poddałam się.

LANDRU: Zniewolił panią?

LOLA: Zupełnie. Byłam bezwolną istotą w jego rękach. Jak szmaciana lalka, która poruszała się zgodnie z jego wolą.

LANDRU: Mówią, że właśnie tak działa.

LOLA: Kazał mi stawać na czworaka (*staje na czworaka*), żebym udawała ropuchę: kroak, kroak.

LANDRU: Perwersyjny. (*ledwo powstrzymuje się od śmiechu*)

LOLA: On też nie mógł się powstrzymać od śmiechu, panie...

LANDRU: Renoir.

LOLA: Śmieszyło go oglądanie mnie takiej. Zupełnie jak pana, panie Renoir. Potem poprosił, żebym otworzyła usta. (*otwiera usta, bardzo szeroko*)

LANDRU: Żeby rzucać pani pożywienie. Jak zwierzętom w ZOO.

LOLA: (*zamyka usta*) Czekoladki. (*otwiera znowu*)

Landru rzuca czekoladkę, próbując trafić w otwarte usta. Pudłuje. Próbuje jeden, dwa, trzy razy, nigdy nie trafiając.

LOLA: On też nie trafiał, panie Landru.

LANDRU: Renoir!

LOLA: Przepraszam, jeszcze raz przepraszam. Miesza mi się, panie Renoir. Landru był we śnie. A teraz jestem obudzona. *(znów otwiera usta i czeka na czekoladki)*

Landru znowu próbuje. Mimo współpracy kobiety, która próbuje chwycić czekoladki w locie, nie trafia żadną. Landru daje spokój, Lola jest rozczarowana.

LOLA: Nie jestem jeszcze starym próchnem, panie Landru. Przepraszam, panie Renoir. Ciągłe czuję się zdolna uszczęśliwić mężczyznę.

Landru, delikatny, zbliża się do niej, obejmuje ją i całuje,

LOLA: *(przymilnie)* Jestem gotowa oddać oko za oko, ząb za ząb.

Landru jedną ręką wyszukuje w pościeli czekoladki. Znajduje kilka i wkłada je do ust kobiety, jedna za drugą, bez żadnych przeszkód.

LANDRU: Jedz, moja kochana Lolu, jedz.

LOLA: *(zadowolona, szczęśliwa)* Mmmm... Mmmm...

LANDRU: Połykaj! Żuj! Smakuj! Ma pani duże upodobanie do tej czekolady!

LOLA: Mmmm... Mmmm...

LOLA: *(prosi o oddech)* Landru kazał mi jeść zatrute czekoladki.

LANDRU: Ja też, moja kochana Lolu. Zawierają silną aztecką truciznę.

LOLA: Obudziłam się złana potem.

LANDRU: To złudzenie, moja kochana Lolu. Umrze pani. Zjadła pani dawkę, która zabiłaby hipopotama.

LOLA: Teraz to pan mnie obraża podobnym porównaniem.

LANDRU: Przepraszam. Po tysiąc kroć przepraszam.

LOLA: Mogę umrzeć w pańskich ramionach, panie Landru?

LANDRU: Oczywiście, że tak. Proszę bardzo. Trzyma pani jeszcze gdzieś klejnoty?

LOLA: Błyskotki bez żadnej wartości. To co ważne, jest pod poduszką.

Landru wyciąga szkatułkę.

LOLA: Niezły łup, panie Landru.

LANDRU: Kosztował mnie sporo pracy. Była pani niedostępna.

LOLA: Nic podobnego! Niech pan nie przesadza. Moje psy nie są w najlepszej kondycji. Kazałam dosypać im do wody środki uspokajające. Stąd ich powolność i ogłupienie. I zawsze wiedziałam, że ogrodnik to sprzedawczyk. Pocałunek?

Landru ją całuje.

Lola uśmiecha się szczęśliwa i umiera w jego ramionach.

W tym momencie wchodzi służąca. Niesie wielki bukiet świeżych kwiatów. Żeby widzieć, którędy idzie, zerka z boku bukietu.

NOEMI: *(gadatliwa)* To moje zajęcie każdego ranka: przynieść do pokoju pani wielki bukiet świeżo ściętych kwiatów. Muszę wyrzucić te wczorajsze i wstawić nowe do wszystkich wazonów.

Noemi obserwuje Landru szarpiącego się ze zwłokami Loli.

NOEMI: *(zaczyna znów mówić, tym samym tonem)* Nienawidziła sztucznych kwiatów, oczywiście, i białych goździków. Jeśli przyjrzy się pan, zauważy że w tym wielkim bukiecie, który mam w rękach, jest tylko jeden biały goździk, jak na lekarstwo.

Noemi widzi, że Landru ma trudności i nie radzi sobie z tak ciężkim ciałem.

NOEMI: Pomóc panu?

LANDRU: Byłbym wdzięczny. To jest jak poruszanie kukłą wypełnioną piaskiem a ważącą tysiąc kilo.

Wspólnymi siłami umieszczają trupa na łóżku. Głowa na poduszce, ciało przykryte prześcieradłem. Lola zdaje się spać, z uśmiechem prawie jak wymalowanym.

NOEMI: Doskonale! Jak pan uważa?

LANDRU: Słucham pani opinii. Zawsze będzie trafniejsza od mojej.

NOEMI: Jeśli ktoś wejdzie, będzie myślał, że pani śpi.

LANDRU: Świetnie.

NOEMI: Wie pan, że wieczorem miała wyjechać?

Landru bierze szkatułkę i po kolei ogląda klejnoty.

NOEMI: Jechała szukać spokoju w górach. Zszarpane nerwy, panie Landru. Lekarze już nie wiedzieli co jej przepisać.

LANDRU: Znalazła ostateczny spokój. Proszę spojrzeć. Piękny obrazek.

NOEMI: Umarła z uśmiechem na ustach. To pańska wizytówka. W gazetach piszą, że wszystkie tak umierają. Co zrobić z czekoladkami?

LANDRU: Moglibyśmy nakarmić nimi te cholerne psy.

NOEMI: Dobry pomysł, jasne że tak! *(podchodzi do okna)* No, maleństwa! Chodźcie tu wszystkie, mamusia was woła. Sułtan, Toby, Karmelita! *(szczękanie, Noemi rzuca czekoladki za okno)* Jedzcie, jedzcie! Jedzcie moje maleństwa, jedzcie i zdechnijcie wreszcie! *(opróżnia pudełko)* Zachowywały się tak, jakby to one były panami ogrodu. Nie można było nawet wyjrzeć z domu, bo od razu pojawiały się przy ogrodzeniu, warcząc i obwąchując pręty klatki. Będzie pan mógł spokojnie wyjść. Nikt panu nie przeszkodzi.

LANDRU: *(dalej zajęty biżuterią)* Myślałem, żeby pójść do tutejszego kościoła.

NOEMI: Zabytek.

LANDRU: Renesansowy.

NOEMI: Nie, z czternastego wieku. Są tam freski Maraccia. Jak tylko wyjdzie pan na drogę, zobaczy pan dzwonnice. Po prawej stronie. Nie musi pan zbaczać, to po drodze na stację.

LANDRU: Pójdę tam. Mam czas. Jeszcze długo do mojego pociągu. *(bierze szkatułkę pod pachę)*

NOEMI: Wszystkiego dobrego, panie... *(podnosi wizytówkę i czyta)* Renoir.

LANDRU: Paul Renoir.

NOEMI: Paul Renoir, jak tu jest napisane. Pośrednik handlu nieruchomościami. *(mówi jednostajnie, odpowiadając wyimaginowanemu przesłuchującemu)* Pozwoliłam mu wejść na pokoje, bo wydało mi się to zupełnie naturalne. Przedstawił się jako pośrednik handlu nieruchomościami. Myślałam, że to pani go wezwała. Narzekała na dom. Mówiła, że jest za duży i że najlepszym wyjściem byłoby wystawić go na sprzedaż. Interesy, o czymkolwiek innym nawet nie pomyślałam. Zostawiłam ich rozmawiających i wyszłam. Nie zdążyłam jeszcze ściąć kwiatów i... Co pan sądzi?

LANDRU: Bardzo przekonujące.

NOEMI: *(dziękuje uśmiechem i kontynuuje rzekome przesłuchanie)* To wszystko, co mogę panu powiedzieć, panie komisarzu. Kiedy weszłam z kwiatami, zobaczyłam ją śpiącą, jak każdego ranka. Nie, nie zauważyłam niczego dziwnego. Poza uśmiechem. Pięknym uśmiechem, który miała wymalowany na twarzy. Oprócz tego nic innego nie zauważyłam. Odczytałam to jako odzwierciedlenie jakiegoś miłego snu. Że śniła o pięknym mężczyźnie, który wchodzi oknem i daje jej w prezencie czekoladki. Byłam cicho jak mysz pod miotłą. Wyjęłam stare kwiaty z wazonów. Ale skądże, panie komisarzu! Jak mogłam pomyśleć, że nie żyje!

Landru bije brawo, akceptując. Wyciąga ze szkatułki jeden klejnot i daje go Noemi.

NOEMI: Nie, nie, i tak zapłacił mi pan za dużo. Wystarczy, panie Landru.

LANDRU: To nie jest zapłata, w żadnym wypadku. To napiwek.

Noemi przyjmuje klejnot: broszę z inkrustowanymi perłami. Biegnie do lustra, podziwia broszę przypinając ją do ubrania. Dalej odpowiada przesłuchującemu.

NOEMI: Jedyne co wiem, to to, że był w tutejszym kościele. Wie pan komisarzu, że nikt nie oprze się takiej atrakcji turystycznej.

Landru zbiera się do wyjścia, pozdrawia ją gestem.

Noemi odpowiada mu innym gestem.

NOEMI: ... Trzeba zapytać księdza, panie komisarzu. On go na pewno widział. Na pewno nawet rozmawiali. Nikt nie umknie temu księdzu gadule, szczególnie jeśli chodzi o obcych. Ja mu powiedziałam, że nasz kościół jest z czternastego wieku. To wie każdy, kto urodził się w tym spokojnym, błogosławnym miasteczku...

WYCIEMNIENIE

SCENA I

Elegancka restauracja.

Okrągły stół przykryty białym obrusem, oświetlony świecami. Kwiaty w wazoniku. Droгоценne futro na poręczy krzesła.

Półmrok.

W tle muzyka: świetny saksofonista gra „Smutnego motyla”, cicho i delikatnie akompaniuje mu perkusista.

Jakaś para tańczy, blisko przytulona. On to Landru, ona to Lukrecja. On ubrany na czarno, ona w długiej sukni z odkrytymi plecami i wielkim dekoltem, który z trudem utrzymuje okrągłe piersi. Obwieszona biżuterią aż do przesady.

Ręce Landru pieszczą kobietę. Bez pośpiechu, mądre i precyzyjne wprawiają ją w drżenie. Przy każdej fali dreszczu ona śmieje się histerycznie, a precjoza brzęczy.

LANDRU: *(słodki, do niej na ucho)* Jak tam pani migrena?

LUKRECJA: Migrena? *(przestrasza się i zatrzymuje)* O jakiej migrenie pan mówi, panie...?

LANDRU: Dupont. Michel Dupont, moja droga Lukrecjo.

LUKRECJA: Ach, tak... Nie rozumiem pańskiego pytania, panie Dupont. Migrena? Co to takiego?

LANDRU: Bolesne ukłucia jakby igłą w potylicę, rozżarzone gwoździe, które przesywały pani...

LUKRECJA: *(chichot)* Pssst! To było kiedyś, panie...

LANDRU: Dupont.

LUKRECJA: Panie Dupont. Kiedyś, dawno temu. Zanim poznałam pana.

Landru odwdzięcza się za pochlebstwo: przyciska ją mocniej do siebie, tańcząc.

LANDRU: *(słodki, do niej na ucho)* Został jakiś ślad pani depresji?

Lukrecja ponownie się przestrasza i zatrzymuje. O czym on jej mówi???

LANDRU: Pani sama wyznała mi, że wpadała w głębokie doły. Do tego stopnia, że myślała nawet o popełnieniu głupstwa.

LUKRECJA: *(chichot)* Pssst! Pan się pojawił w moim życiu, żeby odstraszyć śmierć, panie *(przypomina sobie nazwisko)* Dupont. Już nie myślę o odbieraniu sobie życia. Absolutnie. To już poza mną. Pan to sprawił. Zamknął pan wrota nocy.

LANDRU: Och, Lukrecjo! Protestuję. Przypisuje mi pani zbyt wielkie zasługi. Śmierci nikt nie pokona.

LUKRECJA: *(odrywa się od niego i staje rozkładając ramiona)* Proszę więc popatrzeć! Zmartwychwstała! Niech pan na mnie popatrzy, panie... *(chwila wahania)* Dupont! Jestem pańskim dziełem! Nic już nie zostało z tamtej zdesperowanej kobiety, która szlochała po kątach swego pałacu na odludziu. Zmartwychwstałam, panie *(chwila wahania)* Dupont! Znowu żywa!

Landru przerywa ekstazę kobiety obejmując ją bardzo mocno. Lukrecja omdlewa w jego ramionach, zamyka oczy.

LUKRECJA: Żałuję tylko jednego, panie...

LANDRU: Dupont.

LUKRECJA: Panie Dupont.

LANDRU: Proszę mi powiedzieć, Lukrecjo. Niech mnie pani weźmie na spowiednika. Czego pani żałuje?

LUKRECJA: Czemu wcześniej pana nie poznałam! Co pan robił, gdzie był, czemu nasze drogi się nie spotkały!

LANDRU: Komu przypisać za to winę, moja kochana Lukrecjo?

LUKRECJA: *(waha się)* Na... na... na przeznaczenie, panie *(chwila wahania)* Dupont, które pozwoliło mi być bogatą, trwonić to co odziedziczyłam, na pięciu kontynentach, ale nigdy nie dało mi szczęścia poznać takiego mężczyzny jak pan, w którym mogłabym zakochać się do szaleństwa, jak teraz, kiedy zachowuję się jak pensjonarka, która, ach, panie...

LANDRU: Dupont.

LUKRECJA: Mam szaloną ochotę płakać. Nie mogę się opanować.

LANDRU: Proszę to zrobić tu, na moim ramieniu.

Lukrecja szlocha w ramię Landru.

LUKRECJA: To ze szczęścia, panie... *(nie może przypomnieć sobie nazwiska)*. To ze szczęścia i proszę nie myśleć, że to z innego powodu.

Dłonie Landru ześlizgują się po plecach kobiety i pieszczą jej pośladki.

LUKRECJA: *(wzdryga się)* Ktoś na nas patrzy, panie...!

LANDRU: Co to ma za znaczenie, moja kochana Lukrecjo! Chcę mieć tysiąc świadków naszego szczęścia. Tysiąc oczu, które...

LUKRECJA: Mówię panu prawdę, panie... Ktoś na nas patrzy. *(wrywa się z jego objąć i pokazuje palcem)* Tam stoi mężczyzna i patrzy na nas.

Rzeczywiście, przy stole stoi Alvarez – kelner, który czeka z profesjonalną dyskrecją, trzymając w rękach tacę, na której przyniósł szampana.

ALVAREZ: *(kłania się)* Pański szampan, panie...*(chwilka wahania)* Dupont. Bien frappe.

LUKRECJA: Szampan! Co za wspaniała niespodzianka! Zamówił pan szampana, panie...? Co świętujemy?

LANDRU: Coś bardzo ważnego.

LUKRECJA: Ważnego? O czym mogłam zapomnieć? *(myśli)* Czyżby o naszej rocznicy? Nie, nie, znamy się przecież dopiero parę miesięcy.

LANDRU: Kilka tygodni, droga pani. Nie więcej. Okazuje się, że wszystko jest tak intensywne, że...

LUKRECJA: Wieczność! Znam pana całą wieczność, panie...!

LANDRU: Dupont.

LUKRECJA: Wypełnia pan moją teraźniejszość i moją przeszłość.

LANDRU: *(patrzy na zegarek kieszonkowy i przelicza coś w myśli)* Dwadzieścia dziewięć dni. Trzy godziny. I dwanaście minut upłynęło od momentu, w którym wymieniliśmy pierwszy pocałunek.

LUKRECJA: Pierwszy pocałunek. Cóż za piękne wspomnienie.

LANDRU: Nie liczyłem sekund, bo uciekają tak szybko. Raz, dwa...

LUKRECJA: *(przeżywa znów ten pierwszy pocałunek)* Och, panie... *(małe wahanie)*
Dupont! Objął mnie pan...

LANDRU: Trzy, cztery, pięć...

LUKRECJA: I dał pan powód niewypowiedzianemu szczęściu, oddaniu...

LANDRU: Sześć. Siedem. Osiem.

LUKRECJA: Mojej duszy wraz z moimi ustami...

LANDRU: Dziewięć. Dziesięć.

ALVAREZ: Nokaut.

Uwaga kelnera wyrywa ich z ekstazy i przywraca do rzeczywistości.

LANDRU: *(do kelnera, sucho i stanowczo)* Proszę postawić wszystko na stole i odejść stąd!

ALVAREZ: *(mimo to zbliża się do Landru i mówi mu na ucho)* Dla pańskiej wiadomości chciałbym poinformować, że dysponujemy pokojami dla klientów. Bardzo komfortowymi. Wystarczy szepnąć słówko... Będzie pan zadowolony, zaręczam. Wchodzi się schodami na pierwsze piętro, a tam spotka się pan z...

LANDRU: Precz!

ALVAREZ: *(usprawiedliwia się)* To należy do moich obowiązków. Niektórzy są mi wdzięczni za podobną informację. Dają większy napiwek.

LANDRU: Powiedziałem wynoś się pan!

Alvarez zostawia szampana i znika

Landru bierze zmrożoną butelkę i wkłada ją Lukrecji za dekolt, pomiędzy nagie piersi.

LUKRECJA: *(pisk)* Aia!!!

LANDRU: Odrobinę powściągliwości, Lukrecjo. Niech się pani ochłodzi. Co pani proponuje? Mamy się rzucić tu na podłogę i parzyć jak króliki? Propozycja godna zwykłego lajdaka, pani...

LUKRECJA: *(bardzo zawstydzona)* Niech mi pan wybaczy, panie...

LANDRU: Dupont.

LUKRECJA: Proszę mi wybaczyć, panie Dupont. To dlatego, że czułam, że płonę. Jak

wulkan! I potrzebowałam uwolnienia od tego ognia, który...

Landru – gentleman przysuwa jej krzesło.

Lukrecja przyjmuje gest z uśmiechem, siada.

LUKRECJA: Przyznaję, że straciłam maniery wielkiej damy, panie... *(chwila wahania)* Dupont. Ale od wczesnej młodości na mojej drodze była tylko samotność. Wie pan, że miałam kontakt tylko z masą służby, która... To dobrzy ludzie, ale myślą tylko o jedzeniu, spaniu i... Chcę sobie to wszystko powetować, panie...!

LANDRU: Dupont.

LUKRECJA: Znów będę wielką damą. Będę wspaniałą towarzyszką, na jaką pan zasługuje. *(Landru podaje jej kieliszek szampana)* Dziękuję. Wypijmy za to, z moje odrodzenie, za...

Lukrecja przerywa zainteresowana.

Landru wyjmuje małą buteleczkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Wpuszcza krople, dwie, trzy do szampana Lukrecji.

LUKRECJA: Co to za krople, panie *(pamięta)* Dupont?

LANDRU: Afrodyzjak, Lukrecjo.

LUKRECJA: Afro...? Naprawdę pan sądzi, że ja tego potrzebuję?

LANDRU: Noc jest długa, moja kochana Lukrecjo. Bardzo długa. Może pojawić się jakaś niechęć, nagle zmęczenie, które... Lepiej temu zapobiec.

LUKRECJA: Dawka będzie wystarczająca?

LANDRU: Nawet dla hipopotama.

LUKRECJA: Piękne porównanie, panie... Obraża mnie pan.

LANDRU: *(podnosząc kieliszek do toastu)* Za co chce pani wzniesć toast?

LUKRECJA: *(podnosi kieliszek)* Za naszą miłość.

LANDRU: Niezbyt oryginalnie, pani.

LUKRECJA: *(niepewnie)* Więc... Za miłość wszystkich ludzi na świecie.

LANDRU: Trochę lepiej, ale...

LUKRECJA: Niech mi pan pomoże, panie... *(małe wahanie)* Dupont! Proszę zrozumieć, że moja wyobraźnia jest zwiędnięta jak kwiat pozostawiony bez wody.

LANDRU: Właśnie, kwiaty. W tym kierunku szukałem.

LUKRECJA: Kwiaty? Chce pan wznieść toast za...?

LANDRU: Za wiosnę, za tę nową wiosnę, która wydała już kwiat! *(teatralna pauza)*
Kwiat naszej miłości!

LUKRECJA: *(zachwycona)* Niech zadzwieczą nasze kieliszki, panie...

LANDRU: Dupont.

LUKRECJA: Pan musi być poetą, panie Dupont. Nie mówię, że nie wierzę w to co pan powiedział, ale zdałam sobie sprawę, że pan...

LANDRU: *(uderza swoim kieliszkiem w jej kieliszek)* Na zdrowie!

LUKRECJA: Na zdrowie! *(upija łyk)*

LANDRU: Do dna, Lukrecjo.

LUKRECJA: Alkohol mi...

LANDRU: Proszę.

LUKRECJA: Jaki pan ma piękny uśmiech. Poruszyłby nawet głaz. Kiedy mój ojciec czegoś ode mnie chciał, prosił z takim uśmiechem jak pański. *(wypija całą zawartość kieliszka)* Co pan ze mną zrobi, kiedy będę... *(nie ma odwagi dokończyć)*

LANDRU: Pijana?

LUKRECJA: *(na granicy zerwania się z krzesła i objęcia Landru)* Pijana z namiętności, pożądania!

LANDRU: *(delikatnie ją przytrzymuje)* Niech się pani powstrzyma. Jeszcze nie nadszedł właściwy moment na utratę zmysłów. Zamówimy kolację?

LUKRECJA: Bardzo dobrze, oczywiście. Jestem głodna.

LANDRU: *(klaszcze)* Kelner!

Pojawia się kelner z dwoma egzemplarzami pięknie oprawionego menu. Podaje je gościom i czeka, dyskretny i pełen szacunku.

Lukrecja nie może czytać. Wyteża wzrok. Nie udaje jej się jednak przezwyciężyć trudności.

ALVAREZ: Pani wybaczy... *(ochryple)* Zapomniała pani okularów?

LUKRECJA: Nie używam okularów, nigdy ich nie potrzebowałam.

ALVAREZ: *(do Landru)* Może pani przebrała miarę...*(robi gest pt.: za dużo wypila)*

LANDRU: Jeden kieliszek. Nikt nie upije się taką ilością.

LUKRECJA: Litery są bardzo małe, to dlatego.

ALVAREZ: Eee, proszę pani. Czcionka rozmiar 12. To jest menu, a nie ulotka konspiracyjna. *(do Landru)* Pan wybaczy, ale muszę dbać o dobre imię firmy.

LUKRECJA: A teraz podrygują. Litery tańczą. *(menu wysuwa się jej z rąk i upada na podłogę)* Zgasili światło!

ALVAREZ: *(podnosi menu)* Przeczytać pani, jakie mamy dania z czerwonego mięsa?

LUKRECJA: Wszystko zrobiło się ciemne. Nie widzę. Proszę coś do mnie powiedzieć, panie Landru! Muszę pana usłyszeć!

LANDRU: Dupont, moja kochana Lukrecjo, Dupont.

LUKRECJA: Dobrze, to logiczne, że mnie pan zwodzi, Dupont! Chcę umrzeć w pańskich ramionach. Niech mnie pan obejmie!

Landru podchodzi i obejmuje ją.

LUKRECJA: Dziękuję, panie Landru. *(gestem odrzuca jego protest)* Proszę mnie nie okłamywać, panie Landru. Pan to Landru.

LANDRU: Nie upieram się. Nie okłamuję pani.

LUKRECJA: Dziękuję.

Lukrecja umiera.

ALVAREZ: Wyzionęła ducha?

LANDRU: Mhm, już nie żyje.

Landru kładzie zwłoki na podłodze. Alvarez mu pomaga.

ALVAREZ: Uśmiecha się.

LANDRU: Ze szczęścia, Alvarez. Cóż innego mógłby wyrażać ten uśmiech.

Landru zaczyna ograbiać trupa z kosztowności.

LANDRU: *(daje naszyjnik kelnerowi)* To dla pana.

ALVAREZ: W żadnym wypadku, panie Landru. Zapłacił mi pan już krocie. W zupełności mi wystarczy.

LANDRU: Proszę to wziąć. *(wkłada mu naszyjnik do kieszeni)* Jest pan człowiekiem przyzwyczajonym do przyjmowania napiwków. Ile mam czasu, Alvarez?

ALVAREZ: Z przykrością muszę panu powiedzieć, że niezbyt dużo. Ten stół należy do najczęściej zamawianych.

LANDRU: *(dalej zdejmując precjoza)* Muszę przejść przez całe miasto. Mieszkam daleko stąd.

ALVAREZ: Pół godziny?

LANDRU: Wystarczy.

ALVAREZ: Będzie pan je miał, panie Landru. Proszę mi zaufać.

Landru z wypchаныmi kieszeniami zbiera się do wyjścia.

ALVAREZ: Panie Landru... *(Landru zatrzymuje się)* Co to za biały płyn, który nosi pan w buteleczce?

LANDRU: Trucizna.

ALVAREZ: Trucizna.

LANDRU: Bardzo silna aztecka trucizna.

ALVAREZ: Chcę zabić moją żonę.

LANDRU: Niezawodna! *(daje mu buteleczkę)* Dwie krople do jakiegokolwiek płynu. Będzie pan miał okazję?

ALVAREZ: Najlepszą. Kiedy wracam z restauracji do domu, podaję jej śniadanie do łóżka.

LANDRU: Wspaniale! Dwie krople do kawy. Albo trzy jeśli chce pan być bardziej pewny. Przedtem niech jej pan to da. *(na widok Alvareza wyciągającego naszyjnik z kieszeni)* Prawdziwe perły. A do tego pocałunek. Niech zobaczą pana całującego ją. Jak największa liczba świadków. Później będą zeznawać w pańskiej obronie. To będzie najlepsze alibi. Mąż, który daje prezent żonie całując ją, nie może być mordercą.

ALVAREZ: Pan jest mistrzem, Landru. Mistrzem! Powinien pan wykładać na uniwersytecie.

LANDRU: *(poprawia)* Dupont. Michel Dupont.

ALVAREZ: Dupont, oczywiście. *(uderza się w głowę)* Nie mogę o tym zapomnieć. *(zeznaje przed wyimaginowanym przesłuchującym)* Stolik był zarezerwowany na jakiegoś pana Duponta. Rezerwacja na telefon, panie komisarzu. Sprawdziliśmy, że chodziło o ważnego kupca z branży tekstylnej, ma fabrykę w samym centrum. Nic poza tym nie chcemy wiedzieć.

LANDRU: *(wychodzi zabierając futro wiszące na poręczy krzesła)* Powodzenia, Alvarez!

ALVAREZ: *(pozdrowia Landru gestem, nie przerywając „zeznawania”)* Nie lubimy się zbyt wtrącać w życie naszych klientów. Musimy wiedzieć tylko tyle, żeby utrzymać hierarchię w restauracji i zaoferować odpowiedni stolik.

Alvarez bierze za kostki zwłoki Lukrecji i wywleka je po podłodze.

ALVAREZ: *(dalej „zeznaje”)* Wystrzegamy się parweniuszy, panie komisarzu. Tylko tego. I dlatego nasza restauracja utrzymuje swoje dobre imię.

WYCIEMNIENIE

SCENA II

Sypialnia małżeńska Landru.

Skromnie urządzone wnętrze. Łóżko i kilka krzeseł – na jednym z nich starannie złożone wyjściowe ubranie.

Landru leży w łóżku ubrany w ciepłą piżamę, oparty na trzech poduszkach.

Landru czeka. I słucha radia: saksofonista i perkusista bawią się wspaniałą wersją „Douce Lorraine”

Świta.

LANDRU: *(krzyczy)* Ile czasu minęło odkąd wstało słońce, a jeszcze nikt nie podał mi filiżanki kawy?

Czeka, nikt nie odpowiada.

LANDRU: Muszę wypić kawę! I zjeść śniadanie!

ŻONA: *(jej głos, odpowiada z głębi domu)* Nie ma ani kropli. Trzeba zaparzyć, a ja nie mam na to czasu.

LANDRU: To może któraś z naszych córek. *(nikt nie odpowiada)* Teresa jest już duża, to prawie panienka.

ŻONA: *(pojawia się szyjąc coś w ręku)* Teresy nie ma w domu. Wysłałam ją na wieś do wujostwa.

LANDRU: Nie pytając mnie o zdanie?

ŻONA: Nie było cię, Landru. Nawet nie wiedziałam gdzie cię szukać. Wariuję, kiedy tak znikasz. Przyszło zaproszenie od wujostwa i musiałam podjąć decyzję. Sama. Samiuteńka.

LANDRU: Ale to jeszcze dziecko. Sama poza domem. To nieostrożne!

ŻONA: Nie przesadzaj. Wilk jej nie zje. U wujostwa będzie jej bardzo dobrze. Opali się, będzie się zdrowo odżywiać.

LANDRU: A gdzie służąca? Proszę tylko o filiżankę kawy.

ŻONA: Nie ma służącej. Nikt nie pracuje za darmo przez długi czas. Kończy się im cierpliwość, nie miałam jej czym zapłacić i odeszła trzaskając drzwiami.

LANDRU: Właśnie chciałem porozmawiać z tobą o pieniądzach.

ŻONA: Piękne słowo! Niebiańska muzyka!

Landru wyciąga spod poduszki szkatułkę Loli. Otwiera ją i pokazuje zawartość.

ŻONA: *(rozczarowana)* Słyszałam słowo „pieniądze”.

LANDRU: *(wybuch)* Głupia kobieto! To są pieniądze! Mnóstwo pieniędzy! Trzeba to tylko wszystko sprzedać.

ŻONA: To wymaga czasu, Landru. Ja potrzebuję pieniędzy jeszcze dziś. To bardzo pilne. Są długi, które nie mogą czekać.

LANDRU: O ile dobrze pamiętam, ostatnim razem zostawiłem ci całkiem sporo. Poprzedni interes był świetny.

ŻONA: Jak woda między palcami.

LANDRU: Czyste marnotrawstwo.

ŻONA: Ha! Co ty wygadujesz?! To niesprawiedliwe. Ten dom... Ten dom to ogromne wydatki, Landru. I gromada dzieci do wykarmienia. Nie zapominaj o tym.

Ktoś dzwoni do drzwi.

Landru zakopuje się w pościeli.

LANDRU: Jesteś sama w domu. Sama z dziećmi. Nikogo więcej nie ma. *(wyciąga rękę i włącza radio)*

ŻONA: Muszę im coś powiedzieć.

LANDRU: Jestem jeszcze w podróży. Niczego lepszego nie wymyślę.

Walenie do drzwi.

Kobieta wychodzi otworzyć.

Kłótnia między nią a mężczyzną. Krzyk kobiety.

Mężczyzna odepchnął ją, żeby wejść do sypialni. To Alvarez. Pod pachą niesie codzienną gazetę.

Alvarez zatrzymuje się przy łóżku. Sama jego obecność nie skłania Landru do odkrycia się.

ALVAREZ: *(decyduje się go zawołać)* Panie Landru!

LANDRU: Alvarez?

ALVAREZ: Tak, Alvarez. Przyjaciół.

LANDRU: Jak pan wszedł?

ALVAREZ: *(śmieje się)* Jak to jak? Drzwiami. Pańska żona mi otworzyła. To żona?

LANDRU: *(„wynurza się”)* Tak, żona.

ALVAREZ: Nie była zbyt miła, ale wiedziałem, że to o podróży to bujda. Przyniosłem panu gazetę.

LANDRU: Nie czytuję gazet.

ALVAREZ: Dziś pan powinien. Jest specjalny powód. Niech pan spojrzy. *(pokazuje mu pierwszą stronę)* Znalazł się pan na pierwszej stronie, panie Landru. Gratuluję.

Landru bierze gazetę, przegląda ją.

ALVAREZ: Radzę panu przeczytać opis mordercy. Tutaj, jest tutaj. Niech pan to przeczyta.

LANDRU: *(czyta)* Zgodnie z opisem podanym przez wielu świadków.

ALVAREZ: *(śmieje się)* Ja, ja byłem jedynym świadkiem. To z wieloma świadkami to wymysł tego pismaka albo komisarza. Zeznawałem jako jedyny. I sprzedałem im te androny, które opublikowali. Niech pan to przeczyta, Landru. Uśmieje się pan, obiecuję.

Landru w milczeniu czyta artykuł. Potem patrzy na Alvareza.

ALVAREZ: Nie śmiesz pana?

LANDRU: Muszą coś drukować. Biedni ludzie.

ALVAREZ: Głód atramentu! Nie można narzekać. Na rękę jest panu takie zamieszanie.

LANDRU: Ale żeby tak nie zmyślali.

ALVAREZ: Za dużo inwencji z mojej strony?

LANDRU: W żadnym wypadku to nie była dziewiąta ofiara.

ALVAREZ: Komisarz to wymyślił! Ja nie mam z tym nic wspólnego. Ile ich było, panie Landru? Jaka jest pańska rachuba?

LANDRU: Jak potraktowała pana policja?

ALVAREZ: Wspaniale! Bardzo uprzejmie. Zeznawałem siedząc w bardzo wygodnym fotelu. Poczęstowali mnie kawą.

LANDRU: *(przypomina sobie, krzyczy)* Żono!

ŻONA: *(wchodzi)* Nie mogę robić za psa obronnego. Nie nadaję się. Popchnął mnie, żeby móc wejść.

ALVAREZ: To kłamstwo, panie Landru. Odsunąłem ją ostrożnie. Jak delikatny mebel.

LANDRU: *(do żony)* Kawa. Dwie filiżanki. Poczęstujemy naszego gościa.

Kobieta wychodzi bez odpowiedzi.

Landru zaciska szczęki z wściekłości.

ALVAREZ: Dokładnie te same metody, co mojej żony, panie Landru. One atakują ciszą. Nie mówią nic. Nawet jednego słówka. I to ich najlepsza broń. Straszna, zabójcza.

LANDRU: Kto pana przesłuchiwał?

ALVAREZ: Co to za pytanie! Kto pana ściga? Kto zajmuje się przestępstwami w tym mieście?

LANDRU: Komisarz Sosa.

ALVAREZ: Bardzo dobrze! Komisarz Sosa! Muszę panu powiedzieć, że był na dobrym tropie. Był blisko, bardzo blisko. Ciekawe, do czego teraz dojdzie, po tych fałszywych śladach, które podsunąłem mu pod nos.

LANDRU: Niech pan nie będzie taki pewny siebie. Znów będzie pana przesłuchiwał. Tysiąc razy. To dobry policjant. Nie poprzestaje na tym, co mu ktoś powie.

ALVAREZ: A ja znowu skłamię, panie Landru. Nauczyłem się tego libretta na pamięć, z kropkami i przecinkami. Bła, bła, bła. Oczywiście, jeśli będzie warto dalej kłamać.

(„dzwonek ostrzegawczy”. Landru wnikliwie przygląda się Alvarezowi analizując intencje jego wypowiedzi)

LANDRU: Pół na pół?

ALVAREZ: Nie, nie panie Landru.

Landru wyciąga szkatułkę, pokazuje zawartość.

LANDRU: Będzie pan bogaty, Alvarez. Proszę spojrzeć, co tu mamy. Nawet nie wyobraża pan sobie cyfry. Duuużo zer!

ALVAREZ: Niech pan przestanie.

LANDRU: Fifty-fifty, Alvarez! Innego układu nie akceptuję.

Alvarez powstrzymuje rękę Landru, które już dzieliły kosztowności na dwie części.

Z głębi domu słychać płacz dziecka.

LANDRU: Znam wartość każdej z tych rzeczy. Mogę je podzielić na dwie idealnie równe części.

ALVAREZ: Któż w to wątpi?

LANDRU: Jaka jest pańska propozycja, Alvarez? Proszę mi powiedzieć, czego pan chce. Ja odwalilem całą robotę.

ALVAREZ: Bez skazy! To dzieło sztuki, panie Landru. Jest pan mistrzem.

LANDRU: Chcę wiedzieć, – czego pan żąda?

ALVAREZ: Niczego, panie Landru. Nic z tych rzeczy. Nawet jednej perełki. To wszystko pańskie, nawet nitki, na które te skarby są nanizane.

Landru nie rozumie.

LANDRU: Na miłość boską! Możecie uciszyć to dziecko?!

ŻONA: (*jej głos*) Gdybym miała sto rąk i sto nóg...

ALVAREZ: To zła kobieta, panie Landru. Zupełnie jak moja.

Dziecko ucicha.

Landru czeka na odpowiedź.

ALVAREZ: Nie odważyłem się. Myślałem o zabiciu jej, pamięta pan?

LANDRU: Dałem panu to, czego pan potrzebował.

ALVAREZ: Jestem panu wdzięczny. Był pan bardzo hojny. (*wyciąga buteleczkę*)

LANDRU: Nie znalazł pan sposobności? (*nie chce przyjąć flakonika*)

ALVAREZ: Miałem okazję! Nawet dziś rano. Wróciłem z restauracji i podałem jej śniadanie do łóżka. Jak zawsze.

LANDRU: W takim razie zrobi pan to jutro.

ALVAREZ: Jutro? Wiem, że jutro też nie będę mógł.

LANDRU: Nie jest pan do końca przekonany.

ALVAREZ: Jestem, panie Landru! Jestem! Chodzi o to, że nie jestem w stanie się odważyć. To kwestia charakteru, nie wiem czy pan rozumie. Trzęsą mi się nogi. Oblewa mnie zimny pot, który... Wszystkie mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa. Nie mogę.

Cisza.

ALVAREZ: Przyszedłem poprosić pana o pomoc, panie Landru.

LANDRU: Co takiego?

ALVAREZ: Musi pan ją zabić. Przyszedłem prosić właśnie o to. Dla pana to będzie kaszka z mlekiem. Rutynowe zadanie.

LANDRU: Tak się składa, że jutro wyjeżdżam. Mam interesy, które...

ALVAREZ: Niech pan przełoży podróż.

LANDRU: Prosi mnie pan o zbyt wiele.

ALVAREZ: O parę godzin. O jeden dzień. Nie będzie pan więcej potrzebował. Podam ją panu na tacy. Obiecuję. Pan tylko musi ją zabić. *(podaje mu flakonik, ten go odpycha)*

LANDRU: Za duże ryzyko, Alvarez. Nawet kilkuminutowa zwłoka mogłaby zepsuć coś, nad czym pracuję już dość dużo czasu. To bardzo delikatna istota, niestabilna emocjonalnie. Cała sprawa może wziąć w łeb. Nie, Alvarez. Nie. Zbyt dużo tracę.

ALVAREZ: W takim razie... *(pozwala groźbie zawisnąć w powietrzu)*

LANDRU: *(wpatrując się w Alvareza)* Niech pan dokończy, Alvarez. W takim razie, ...co?

ALVAREZ: Pójdę do Sosy i mówię mu wszystko, co wiem.

Cisza.

ALVAREZ: Prawdę.

LANDRU: Zdrajca!

ALVAREZ: To pan mnie do tego zmusza, Landru.

Cisza.

LANDRU: *(ugodowo)* Słuchaj, Alvarez. Ja też nie mógłbym jej zabić.

ALVAREZ: To żart?

LANDRU: Niech pan posłucha. Mam nadzieję, że mnie pan zrozumie. Śmierć tych kobiet, to koniec pewnego procesu. Odbieram im życie po tym jak po trochu zabrałem im już wszystko. To metoda, która opiera się na obopólnym porozumieniu. Układ. Nigdy oficjalny, oczywiście. Myślę, że na koniec one zdają sobie sprawę z tego, jak ta cała zabawa się skończy, ale przyjmują śmierć w zamian za kilka dni, kilka tygodni, kilka miesięcy szczęścia. Umierają z uśmiechem, widział pan. Był pan świadkiem. Nigdy

skarga. Uśmiech. Spokój. Szczęście, którego nigdy nie miały.

Cisza.

ALVAREZ: W ramach zapłaty dam panu fortepian. Gra na nim moja żona. Później nie będzie mi już do niczego potrzebny. Niemiecki. Dziewiętnastowieczny.

LANDRU: Bierze mnie pan za płatnego mordercę.

ALVAREZ: Dobrze pan zarobi. To bardzo wartościowy przedmiot.

LANDRU: Nie zrozumiał pan. Nie wie pan, z kim rozmawia.

ALVAREZ: Z Landru.

Cisza.

ALVAREZ: Mordercą kobiet.

Cisza.

ALVAREZ: Komisarz Sosa chciałby wiedzieć, gdzie on mieszka. Nie ma zielonego pojęcia o jego adresie. Nawet nie wie, w której dzielnicy...

LANDRU: *(opanowując wściekłość)* Wynoś się, Alvarez!

ALVAREZ: Niech pan pomyśli, Landru. Niech się pan opanuje i pomyśli. Minuta refleksji. Proszę się uspokoić.

LANDRU: Nie mam o czym myśleć! *(krzyczy)* Żono! Nasz gość wychodzi!

ALVAREZ: Znam drogę.

LANDRU: Moja żona odprowadzi pana do drzwi.

ALVAREZ: To pańskie ostatnie słowo?

LANDRU: Precz! Proszę stąd wyjść!

*Landru zgniata w rękach gazetę w kulkę i rzuca w Alvareza.
Alvarez podnosi ją i rozprostowuje zmięte kartki.*

ALVAREZ: Nie zostawi pan sobie tego? Ja na pana miejscu wytapetowałbym ściany wycinkami, w których jest mowa o mnie.

LANDRU: Precz!

ALVAREZ: Szkoda, prawdziwa szkoda.

Alvarez wychodzi.

Wchodzi żona Landru z taca, na której niesie filiżanki z kawą.

ŻONA: Niezły numer! A tyle mnie kosztowało zaparzenie tej lury.

Landru wyskakuje z łóżka. Bierze filiżankę i wypija łyk.

LANDRU: Pyszna! Masz złote ręce, najdroższa. *(całuje ją po rękach)*

ŻONA: Dziękuję, Landru.

Landru zaczyna się ubierać w pośpiechu.

LANDRU: Jak wrócę, posiedzę już długo.

ŻONA: Trala lala. Znam tę starą śpiewkę. Mam dalej udawać, że jestem wdową?

LANDRU: Jak do tej pory ta wersja świetnie zdawała egzamin. Po co zmieniać? Twój mąż zginął na wojnie. Żyjesz z renty, którą wypłaca ci państwo.

ŻONA: Niebezpieczne, Landru. Najmłodsze dziecko nas zdradza.

LANDRU: Żadne ryzyko. Nikt się nie będzie nad tym zastanawiał.

ŻONA: *(podaje mu filiżankę)* Musiałabym wylać. Nie piję kawy. Moje nerwy jej nie tolerują.

Landru z przyjemnością wypija drugą filiżankę.

ŻONA: Będę tu. I będę na ciebie czekała.

LANDRU: I właśnie dlatego załatwię wszystko bardzo szybko. Żeby czekanie było krótsze.

Landru i jego żona całują się.

Płacz dziecka.

Rozdzielają się.

LANDRU: Ma niezłe płuca.

ŻONA: Oznaka zdrowia.

Zaczyna być słychać syreny patroli policyjnych.

Landru zaczyna się spieszyć.

WYCIEMNIENIE

SCENA III

Ta sama scenografia.

Policja ma zamiar wkroczyć do domu.

Rwetes. Oburzone krzyki żony Landru, płacz dzieci, syreny policyjne i warkot helikopterów krążących nad domem.

Słuchać głos komisarza Sosy wydającego rozkazy.

KOMISARZ: Otoczyć cały kwartał! Cały kwartał ze wszystkich czterech stron! Co metr człowiek! Nikt nie ma prawa wejść ani wyjść stąd bez wylegitymowania się! Legitymować wszystkich bez wyjątku. Podejrzanych w kajdanki!

Komisarz Sosa wchodzi do sypialni. Towarzyszą mu Alvarez i sierżant Marta, policjantka w cywilu, ubrana skromnie (kostium), bez śladu makijażu.

Komisarz Sosa i sierżant Marta (ręce w kieszeniach) czekają aż Alvarez skończy pobieżną rewizję pomieszczenia.

ALVAREZ: Uciekł. *(pauza)* Uciekł. Zwiął, komisarzu.

KOMISARZ: *(nowina zdaje się go cieszyć, śpiewa)* Uciekła mi przepióreczka w proso, w proso, a ja za nią nieboraczek boso, boso... *(do Marty)* Co mi pani powie sierżancie? Co pani sądzi?

Sierżant Marta nie odpowiada. Komisarz także nie oczekuje odpowiedzi.

Komisarz odkrywa filiżanki po kawie. Ogląda je, wacha. Wkłada do jednej z nich palec, po czym go ssie.

KOMISARZ: Kawa.

ALVAREZ: Mówiłem, że trzeba się spieszyć. Trochę szybciej, mówiłem panu.

KOMISARZ: Dwie filiżanki. Tu jadły śniadanie dwie osoby. *(krzyczy do swoich ludzi)* W kajdanki, w kajdanki tę kobietę! Aresztować jako podejrzaną! Dzieci też! *(wyjaśnia sierżantowi)* Lepiej zapobiegać, sierżancie. To dzieci zbrodni.

Żona Landru odpowiada z głębi domu.

ŻONA: Bydlę! Człowiek bez serca!

KOMISARZ: Zero litości dla tej czarownicy!

ŻONA: Potwór!

Komisarz nie zwraca uwagi; znalazł łup: szkatułkę Loli porzuconą pod łóżkiem. Pokazuje ją palcem, dumny z odkrycia.

KOMISARZ: Łup!

Alvarez wpelza pod łóżko i wyciąga szkatułkę.

KOMISARZ: Wspaniałe znalezisko, sierżancie!

Alvarez otwiera kuferek i cały optymizm gaśnie, wewnątrz nic nie ma.

KOMISARZ: Nic?

ALVAREZ: Nic, komisarzu. Pusta.

KOMISARZ: Ha! Landru nie je szkła. A jeśli je szkło, pluje butelkami. Co mi pani powie, sierżancie? *(Marta nie odpowiada)* To nie mogło być takie proste.

ALVAREZ: Gdyby odrobinę bardziej się pospieszyć...

ŻONA: *(z głębi domu)* Troglodyci!

KOMISARZ: *(odpowiada żonie)* Żadna nowość, pani. Do policji nie bierze się intelektualistów. Banda debili. Nasze oddziały składają się tylko z idiotów. Reszta siedzi w sztukach plastycznych.

ALVAREZ: A jakby tak przesłuchać żonę?

KOMISARZ: Biedaczka. Nie będziemy już zawracać jej głowy. Z całą pewnością nie wie, gdzie jest jej mąż. Znam Landru. *(omiata gestem pomieszczenie)* Nic istotnego? Coś innego? Coś, co...?

ALVAREZ: Mnie pan pyta? Nie jestem policjantem. Chciałem tylko pomóc.

KOMISARZ: Sierzancie? Co pani sądzi? *(sierżant nie odpowiada)*

ALVAREZ: Lepiej chodźmy stąd. Narobiliśmy zamieszania. Postawiliśmy na nogi całe sąsiedztwo.

Komisarz znów pokazuje palcem coś na podłodze.

ALVAREZ: *(zbity z tropu)* Co? Co mi pan pokazuje?

*Komisarz wiecznie wyciągniętym palcem pokazuje znalezisko sierżantowi.
Ona wykazuje zainteresowanie. Potwierdza ruchem głowy.*

KOMISARZ: *(szepcze do zdezorientowanego Alvareza)* Kłębek pokazuje nam koniec nici, Alvarez. *(ciągle pokazując)* Dalej, niech pan to podniesie.

ALVAREZ: Zdechłe karaluchy. Śmieci. Kulka z papieru.

KOMISARZ: Wycinek z gazety. Bardzo ważny.

Sierżant Marta potwierdza kiwnięciem głowy.

Alvarez podnosi kulkę. Rozprostowuje ją. To wycinek z gazety.

KOMISARZ: *(wydaje rozkaz)* Pan czyta. Sierżant notuje. Dobrze nadstawiać uszu.

ALVAREZ: *(czyta)* Jeśli jest pan mężczyzną w wieku 45 – 50lat...

KOMISARZ: Aha. Wiek naszego pana. Pasuje.

ALVAREZ: *(kontynuuje)* I chciałby pan poznać kobietę, lat 48...

KOMISARZ: Kobietę lat 48! Tu Landru nastawił swoje czułki. Radar zrobił piipii, piipii! Dalej, Alvarez.

ALVAREZ: Samotną, pogodną optymistkę, bardzo dobrze sytuowaną.

KOMISARZ: Bardzo dobrze sytuowaną! Podkreślone! Zielonym ołówkiem.

ALVAREZ: *(potwierdza)* Jest podkreślone. Zielonym ołówkiem.

KOMISARZ: Iii, iii, radar namierzył ofiarę. Jak się nazywa ta pani?

ALVAREZ: Laura.

KOMISARZ: Laura. Skrzynka pocztowa?

ALVAREZ: Skrzynka pocztowa numer 7174.

KOMISARZ: Skrzynka pocztowa numer 7174.

Komisarz zabiera mu wycinek i chowa do kieszeni.

Szarpie sierżant Martę za ramię, próbując zarazić ją swoim entuzjazmem.

KOMISARZ: Sierzancie! Jupi! Jupi! Jupi! Otworzyła się nam furtka. Duuuuż! Na oścież! Ledwo przekroczyliśmy ten próg, a weszliśmy na drogę prowadzącą nas do zwycięstwa. Na jej końcu zobaczymy światło, sierzancie. Na razie to jest maleńkie światełko, bardzo słabe i bardzo daleko, ale pokazuje nam, gdzie możemy znaleźć tego naiwnego Landru. *(krzyczy do swoich ludzi)* Do samochodów! Wszyscy do samochodów. Dalsza część dochodzenia potoczy się gdzie indziej!

Znowu rwetes. Syreny i warkot silników.

Pojawia się żona Landru. Zakuta w kajdanki. Jest wściekła.

ŻONA: Chcę wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za to najście! I do kogo mam się zwrócić ze skargą!

KOMISARZ: Dostanie pani list z przeprosinami. Podpisany przez ministra. Proszę go zachować. Będzie co pokazywać wnukom. *(do Alvareza)* Pan też dostanie. Inny list. Z podziękowaniem za pańskie przysługi. *(krzyczy do swoich ludzi)* Zostaje jeden człowiek na straży! Tylko jeden! *(wyjaśnia sierżantowi)* Rutynowo. *(do swoich ludzi)* Przy drzwiach wejściowych! Umundurowany!

Komisarz i sierżant wychodzą.

ALVAREZ: Nie ma sposobu, żeby go zawiadomić?

ŻONA: W jaki sposób? Ja nie wiem, gdzie on jest.

Alvarez postanawia wyjść za policjantami.

ŻONA: *(zatrzymuje go)* Chwileczkę. Jeśli go pan zobaczy, proszę mu powiedzieć, że potrzebuję pieniędzy. Dzieci idą do szkoły, a ja muszę zapłacić wpisowe.

Alvarez potwierdza i wychodzi.

WYCIEMNIENIE

SCENA IV

Skwer w małym, prowincjonalnym miasteczku. Wczesne popołudnie.

Ławka pomalowana na pomarańczowo, odrapana. Z tyłu za nią gęste krzaki.

Laura siedzi na ławce. Jest ubrana w letnią sukienkę z odkrytymi ramionami i plecami; ma na sobie mnóstwo biżuterii. Świeci ostre słońce, przed którym Laura ochrania się kolorową parasolką – to jednak nie wystarcza.

Pojawiają się: komisarz i sierżant Marta. Komisarz staje naprzeciwko Laury i mierzy w nią palcem.

KOMISARZ: Voici! La femme!

Laura patrzy na niego, uśmiecha się przyjaźnie.

LAURA: Przepraszam, czy pan Argan?

Komisarz i sierżant obserwują ją w milczeniu.

LAURA: Czekam na pana Argan. Jestem z nim umówiona. Może pomyliłam godziny, ale już długo tu jestem, a słońce...

KOMISARZ: To pani jest Laura?

LAURA: Tak, to ja. Pan Argan! Nareszcie!

KOMISARZ: Nie! Proszę się uspokoić. Nie jestem Argan.

LAURA: Och, co za rozczarowanie. O, ja nieszczęsna! To czekanie nie ma końca. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam. To słońce mnie torturuje. Proszę spojrzeć na moje ramiona. Całe czerwone.

KOMISARZ: Jesteśmy z policji, proszę pani. Komisarz Sosa!

Sosa pokazuje Laurze metalową odznakę, która błyszczy w słońcu i razi ją w oczy.

LAURA: Och, proszę to zabrać. Razi mnie w oczy.

KOMISARZ: I sierżant Marta, z Brygady Kobiecej.

Marta też pokazuje odznakę, która również błyszczy.

Laura zakrywa sobie oczy i odmawia oglądania identyfikatora.

KOMISARZ: Wie pani, kim jesteśmy?

LAURA: *(z zamkniętymi oczami)* Oczywiście, że tak. Komisarz Sosa i sierżant Marta z Brygady Kobiecej. Są państwo policjantami, którzy...

KOMISARZ: Właśnie, droga pani. Jesteśmy policjantami.

LAURA: *(otwiera oczy)* I co państwo tu robią, w tym małym, tak spokojnym miasteczku? Tu się nic nie dzieje, panie komisarzu.

KOMISARZ: Przyjechaliśmy po tego pana.

LAURA: Argan?

KOMISARZ: Argan! To pseudonim, proszę pani. Ksywa, alias, maska, zasłona, makijaż! Pod tym fałszywym nazwiskiem ukrywa się Landru.

LAURA: Landru!!!

KOMISARZ: Zna go pani?

LAURA: Jak mogę go nie znać? Czytam gazety i...

KOMISARZ: Argan to Landru.

LAURA: Nie, nie. Komisarzu, naigrawa się pan ze mnie. Nie przystoi z pana strony. Jestem biedną, głupią, prowincjonalną kurą. Niech pan ma litość i nie kpi ze mnie.

KOMISARZ: Koresponduje pani z nim? Umawiała się pani z nim już wcześniej?

LAURA: Dopiero teraz. Ale z panem Argan.

KOMISARZ: Osłabia mnie pani. Argan to Landru. Pani będzie przynętą.

LAURA: Ja?

KOMISARZ: Pani.

LAURA: Przynętą?

KOMISARZ: Przynętą. Serek dla myszki. Użyjemy pani, żeby go zwabić.

LAURA: Nie mogę uwierzyć, że życie uśmiecha się do mnie w ten sposób. Życie dawało mi zawsze tylko cierpienie. Nieszczęścia i cierpienie. *(podeksycytowana poprawia makijaż)* Jestem do usług, panie komisarzu. To jest mój posterunek. Siedzę. I czekam.

KOMISARZ: *(do swoich ludzi, krzyczy)* Otoczyć park! Człowiek co metr! Nikt nie ma

prawa wejść ani wyjść niezauważony! Legitymować wszystkich!

Rwetes. Syreny, warczenie motorów, wydawane rozkazy.

Wreszcie zupełna cisza.

KOMISARZ: Tirin! Kordon zamknięty! Jak żelazna obręcz! Niemożliwy do przeniknięcia. Teraz wystarczy tylko czekać. Cierpliwie czekać. Pani nas nie widziała.

LAURA: Co? Jak to was nie widziałam?

KOMISARZ: Nie. Nie widziała nas pani. Długo pani czeka.

LAURA: Kilka godzin!

KOMISARZ: Czekaj pani już kilka godzin i nikt się nie pojawił w tym parku. Nikt. Oprócz sprzedawcy baloników i żebraka, który...

Laura nagle traci z oczu swoich rozmówców, którzy ukrywają się w krzakach rosnących za ławką.

Pauza.

Pojawia się Alvarez. Policjanci obserwują go z ukrycia.

Alvarez staje naprzeciwko Laury i przygląda się jej.

LAURA: Pan Argan?

Alvarez nie odpowiada.

Pauza.

LAURA: Pan jest Argan?

ALVAREZ: Nie. Nie jestem Argan.

LAURA: Och, co za szkoda. A może pan Landru?

ALVAREZ: Też nie. Nie jestem Landru.

LAURA: Jestem tu na przynętę, panie... *(Alvarez nie przedstawia się)* Serek dla myszki. Chcą złowić tego Argan. Mówili mi, że to Landru we własnej osobie.

ALVAREZ: Zapraszam panią na spacer.

LAURA: Co? Spacer?

ALVAREZ: Spacer. Ten piękny park aż kusi, żeby przejść się jego alejkami.

LAURA: Mnie?

ALVAREZ: Panią. Kogóż innego mogę zapraszać? Nikogo innego nie ma na tym skwerku.

LAURA: Sprzedawca baloników i...

ALVAREZ: *(podaje jej ramię, zapraszając do wstania z ławki)* Proszę.

LAURA: Nie mogę. Nie powinnam się stąd ruszać. Jestem na przynętę. Powtarzam panu. Dzięki mnie schwytają tego Argan, alias Landru.

ALVAREZ: Błagam panią, Lauro. Nalegam.

LAURA: Zna pan moje imię?

ALVAREZ: Wiem też, że słońce pani szkodzi.

LAURA: Torturuje mnie! Wyskakują mi bąble, które... Gdzie chce pan mnie zabrać? Ten park ma wiele ustronnych, zacienionych zakątków.

ALVAREZ: Tam, gdzie nikt nas nie zobaczy i będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Laura nie może się oprzeć, przyjmuje propozycję.

LAURA: Niech mnie pan stąd zabierze, panie...

ALVAREZ: Alvarez. Nazywam się Alvarez.

LAURA: Alvarez! Latynoskie nazwisko! Musi pan być prawdziwym ognistym macho.

Zaczynają spacerować. Przechodzą tuż obok kryjówki policjantów. Komisarz wychyla się i zatrzymuje ich.

KOMISARZ: Co pan wie o naszym ptaszku?

ALVAREZ: Absolutnie nic. Nie widziałem go nigdzie.

LAURA: Powinien pan o tym zapomnieć, komisarzu.

KOMISARZ: Ależ proszę pani, zmontowaliśmy to wszystko, żeby go aresztować. Jeśli...

LAURA: Więc niech pan na mnie nie liczy. Nie mogę dalej być przynętą. Zostałam zaproszona na przechadzkę. *(słodką, daje się objąć Alvarezowi)*

KOMISARZ: Och, proszę pani... Zostawia nas pani akurat teraz, kiedy czuję, że on jest blisko. A pani co czuje, sierżancie? Nie czuje pani tego co ja? Łaskotanie krwi w żyłach, aż mnie mrowi, kiedy...

ALVAREZ: Będę się miał na bacności, komisarzu. Jeśli zobaczymy coś podejrzanego, zawiadomimy pana.

KOMISARZ: To, to! Oczy szeroko otwarte! Chociaż minimum współpracy i solidarności!

Alvarez i Laura kontynuują spacer.

Pojawia się Landru. Wychyla się zza krzewu. W ręce trzyma różę.

LANDRU: *(do Alvareza)* Zdrajca!

ALVAREZ: Zażaleń nie przyjmujemy. Pan sam mnie zmusił do zadenuncjowania go.

LANDRU: Alfons!

ALVAREZ: Cicho! Ani słowem, że pan to Argan. Komisarz tylko czeka na to wyznanie, by zgarnąć pana jak motyla w siatkę.

LAURA: Tak, to prawda, panie Argan. Jest pan w niebezpieczeństwie. Komisarz chce pana aresztować.

Alvarez zabiera różę Landru i wręcza ją Laurze.

LAURA: Co za galanteria, panie Alvarez! Nigdy nie dostałam jednego kwiatu. *(zachwycona wacha różę)*

ALVAREZ: *(do Landru)* Proszę się dalej ukrywać. Co pan osiągnie wystawiając się na widok w ten sposób? *(do Laury)* Porozmawiajmy o pani majątku.

KOMISARZ: *(wychyla się z krzewu)* Co? Źle słyszałem, czy mam halucynacje? Sierżancie, proszę mnie uszczypnąć. Muszę śnić. *(do Landru, który też wychyla się spośród gałęzi)* Zapytał ją o majątek?

LANDRU: Ja też to słyszałem.

KOMISARZ: Co za forma rozpoczynania znajomości! Kretyn! Działa jak mały Landru. Ale w pośpiechu, za szybko.

LANDRU: Grzech początkujących, komisarzu. Brak cierpliwości.

KOMISARZ: Landru nigdy by tego nie zrobił.

LANDRU: Niech się pan uspokoi, komisarzu. Niech pan powstrzyma swoje oburzenie.

KOMISARZ: Nie mogę. Wychodzę z siebie.

LANDRU: Zobaczmy, co odpowie nasz wróbelek.

LAURA: Pan, Alvarez? Pan mnie pyta o mój majątek?

LANDRU: Hmmm! Niech pan zwróci uwagę, komisarzu. Buduje dystans. Odpowiada pytaniem na pytanie. Gra na zwłokę.

KOMISARZ: Szczwana stuka. Dalej, Alvarez! Teraz nie może zamilknąć. Już zadał to idiotyczne pytanie. Włazł do wody, więc teraz musi się popluskać.

LANDRU: Jesteśmy tego samego zdania. Musi kontynuować. Ale trochę więcej luzu, Alvarez. Jakbyś był roztargniony, jakby ten temat w rzeczywistości był dla ciebie mało istotny. Tak! Dokładnie tak! Bardzo dobrze!

ALVAREZ: Pani majątek, Lauro. Co pani posiada? Na ile szacuje się pani fortunę?

LAURA: (*chichocze*) Jestem milionerką.

KOMISARZ: Teraz zaciśnij zęby. I poczekaj, aż sama powie.

LAURA: Uff! Tyle tego jest. Musiałabym sobie przypomnieć.

LANDRU: Nieruchomości. Niech pan pyta tylko o to, Alvarez. Zobaczymy co mu powie.

ALVAREZ: Jakie pani ma nieruchomości, Lauro? Niech sobie pani przypomni swoje posiadłości.

LAURA: Hmmm...

KOMISARZ: Niech pani pomyśli. Pozwól jej pomyśleć.

LANDRU: (*do Laury*) Pomóc pani?

LAURA: Dlaczegoż by nie? Niech mi pan pomoże. Proszę.

LANDRU: Zamek w Szkocji. Zamek w Szkocji.

LAURA: Właśnie! (*do Alvezę*) Mam zamek w Szkocji.

LANDRU: I jeszcze jeden we Włoszech.

LAURA: I jeszcze jeden we Włoszech! Oczywiście, że tak!

LANDRU: Nad Adriatykiem. Nad lazurowym morzem, które...

KOMISARZ: Dobrze, dobrze. Zaczynam rozumieć, dlaczego Landru zwrócił na panią uwagę.

LAURA: *(do komisarza)* Mam też ziemię.

KOMISARZ: Tak? To znaczy?

LANDRU: *(do komisarza)* Ziemia, komisarzu. Ogromne połacie. Niech pan poczeka. I niech pan uważa. Będzie pan zaskoczony. *(do Laury)* Niech nam pani powie ile dokładnie tego jest, Lauro.

LAURA: Trzy majątki.

KOMISARZ: Jupi! Trzy majątki!

LANDRU: Uprzedzałem, że będzie pan w szoku. Jakieś czterysta tysięcy hektarów.

KOMISARZ: Mój Boże! W dniu, w którym Landru rzuci się w pogoń za biedną pokojóweczką, ja zostanę mnichem tybetańskim.

ALVAREZ: *(do Laury)* A samochody?

KOMISARZ: A co teraz przyszło do głowy temu facetowi? O co on ją pyta? O samochody? Musi mieć ich miliony. Jeden na każdy dzień tygodnia. Po jednym z każdego koloru.

LAURA: Samochody?

LANDRU: Aj! Chwileczkę, komisarzu. Zmieniła ton.

KOMISARZ: Pojawił się cień podejrzliwości?

LANDRU: Tak, pojawił się. Ta kobieta zaczyna coś podejrzewać. Ten ton... Zgaduję to po tonie. *(do Alvareza, z pretensją)* Przyłapała pana na zbyt dużej dawce zainteresowania w pańskich pytaniach.

LAURA: Wie pan co, Alvarez? Zdaje mi się, że jest pan zbyt ciekawski.

LANDRU: A nie mówiłem? To się musiało stać. Paniusia się wymyka, nabrała podejrzeń.

KOMISARZ: *(do Alvareza)* Mówiliśmy panu. Co nagle to po diable. Byle szybko. Jak łakome dziecko.

LANDRU: *(do Alvareza)* Niech pan zmieni temat rozmowy. Niech pan jej mówi o ptaszkach, kwiatkach.

ALVAREZ: Nie musi mnie pani podejrzewać, Lauro. Nie przyciąga mnie pani fortuna, tylko pani wdzięki.

KOMISARZ: Hmm..., nie najlepiej. *(do Landru)* Jak pan uważa?

LANDRU: Jeszcze za wcześnie na obwieszczenie zwycięstwa. Zobaczymy co mu odpowie.

Laura nie odpowiada.

LANDRU: Hmm... Nic nie mówi, komisarzu. Niebezpieczna cisza.

KOMISARZ: To mnie denerwuje. Co zrobić? Uszczypnąć ją w tyłek? To mnie denerwuje. Co zrobić? Uszczypnąć ją w tyłeczek?

Alvarez zatrzymuje się. Klęka na ścieżce i recytuje wiersz.

ALVAREZ:

Rozkosz koniczyny falującej na wietrze
suche konary
rozcinają
błękitne niebo
I szukają
wiosny
jak ich mięśnie do słońca
do wiatru
do pożądania wiatru
który trzyma koniczynę w objęciach

LANDRU: Piękna ucieczka! *(bije brawo)*

KOMISARZ: *(też bije brawo)* Mistrzowskie posunięcie. Godne Landru.

LANDRU: Poezja. Wystarczy wierszyk, a kobiety umierają z zachwytu.

Laura nie wygląda na poruszoną.

Komisarz, sierżant i Landru obserwują ją.

KOMISARZ: Powinna paść z wrażenia. Rozkosz koniczyny i pożądanie w powietrzu.

LANDRU: Zgadzam się z panem, komisarzu. Powinna zareagować jak pensjonarka przed pierwszym pocałunkiem.

Nadal obserwuje Laurę.

LANDRU: Nic. Nawet gestu. Jak z kamienia.

KOMISARZ: *(zdeenerwowany)* Uszczypnij ją w tyłek, Alvarez! Proszę! Niech pan coś zrobi!

LAURA: *(staje w rozkroku, grozi mu parasolką)* Niech się pan nawet nie waży mnie dotknąć!

LANDRU: Alvarez! Baczność! Nie wycofuj się!

Alvarez staje naprzeciwko Laury. Nie wycofuje się.

LANDRU: Atakuj! Walcz do końca!

Alvarez ją obejmuje, kobieta się nie opiera.

KOMISARZ: Bardzo dobrze!

LANDRU: Niech pan będzie uwodzicielski, Alvarez! Niech pan zrobi coś, co ją poruszy.

ALVAREZ: Lauro kochana, słyszy pani szum morza?

LAURA: *(sucho, z dystansem)* Nie. I to logiczne. Jesteśmy ponad czterysta kilometrów od morza. Nie można go usłyszeć, nawet szumu. To miasteczko leży daleko w głąb lądu, panie Alvarez. Dookoła same góry i tylko jeden mizerny strumyk, który na dodatek wysycha w lecie, właśnie wtedy gdy potrzebujemy go najbardziej.

LANDRU: Nie, nie. To już przegrana sprawa. Zawalił pan robotę, Alvarez. Już nie ma pan odzewu od tej kobiety.

KOMISARZ: Co zrobiłby Landru? Chciałbym to wiedzieć.

LANDRU: Nigdy w życiu nie doprowadziłby do takiej sytuacji. Landru postępuje naprzód z ogromną ostrożnością.

ALVAREZ: Czy to prawda, że ma na swoim koncie już dziewięć ofiar?

LANDRU: Niech pan przestanie zadawać głupie pytania i lepiej zajmie się naszą rybką której, zdaje się, przeszła już wszelka ochota na połknięcie haczyka.

ALVAREZ: Lauro, czuje się pani szczęśliwa?

LAURA: Raczej zmęczona. *(rezygnuje ze spaceru, siada na ławce, zdejmuje buty i masuje zbolale stopy)* Mam dość spacerowania, chodzenia w kółko po tym parku jak kucyk dla dzieci w ZOO. Komisarzu...

KOMISARZ: Jestem na pani rozkazy!

LAURA: Czy to prawda, że wszystkie kobiety, które zabił Landru, umarły z uśmiechem?

KOMISARZ: Święta prawda. Z pięknym uśmiechem zaznanej przyjemności, szczęścia wymalowanym na twarzy. Wszystkie tak samo. Jak jeden mąż. Niech sama pani powie, sierżancie.

Sierżant nie potwierdza.

LAURA: Czuję zazdrość. Wie pan? Wielka zazdrość. Piękna śmierć.

LANDRU: *(do Alvareza)* Co pan tak tu stoi, jakby zapuścił korzenie? Nie widzi pan, że ta kobieta przestała zwracać na pana uwagę? Niech pan stąd zniknie, Alvarez. Tak będzie najlepiej.

KOMISARZ: Właśnie, Alvarez. Niech pan się zmyje. Powolutku. To będzie najmniej kompromitujące dla pana wyjście.

ALVAREZ: Idę. Ale najpierw chcę usłyszeć odpowiedź od tego pana. *(pokazuje na Landru)*

KOMISARZ: O co chodzi?

LANDRU: Żąda ode mnie, żebym zabił mu żonę.

KOMISARZ: Czemu prosi o to pana? Sam nie ma odwagi? *(do Alvareza)* Brak okazji? Nie znalazł pan sposobu?

ALVAREZ: Nie, nie mogę. Próbowałem i...

KOMISARZ: Nie odważył się pan. *(do Landru)* Niech mu pan powie, żeby spadał na drzewo!

ALVAREZ: Jeśli to robi, zadenuncjuję go. Powiem, że ten człowiek to Argan alias Landru, a pan, komisarzu, będzie musiał go aresztować. Natychmiast.

KOMISARZ: Oczywiście, że tak. Nie możemy zrobić nic innego. Uwaga! Sierżancie!

Komisarz i sierżant wyciągają broń.

LAURA: Ojej! Wystraszyliście mnie tą bronią!

KOMISARZ: To typowa procedura policyjna, proszę pani. Chciałaby pani, żebyśmy wyciągnęli kolorowe chusteczki jak iluzjonista?

ALVAREZ: *(do Landru)* Przyjmuje pan?

LANDRU: A mam inne wyjście? Jestem w pańskich rękach, Alvarez.

ALVAREZ: *(do policjantów)* Ten człowiek to nie jest Argan.

KOMISARZ: Cholera! Znowu nam się nie udało! Landru wyczuł zasadzkę i wymknął nam się z rąk jak...! *(do Landru)* Niech pan na mnie nie zwraca uwagi, nie narzekam. Lubię to. Ciężka, trudna walka. Okrutna i zażarta. Inteligencja kontra przebiegłość, nieustępliwość kontra... *(nie znajduje słowa)* Pani, sierżancie, musi czuć to samo. Proszę powiedzieć temu panu, no niech mu pani powie, ile ma pani z tego radości. *(sierżant nie odpowiada, komisarz krzyczy do swoich ludzi)* Zwijamy się stąd! Wszyscy do samochodów! Wracamy na komisariat!

Rozkazy. Ryk zapuszczanych silników. Syreny.

Komisarz i sierżant wychodzą.

Cisza.

LAURA: Chciałabym wiedzieć, na czym stoję.

LANDRU: Co pani myśli o przyszłym czwartku?

LAURA: O tej samej porze, panie Landru?

LANDRU: I w tym samym miejscu. Argan.

LAURA: Niech mnie pan nie prosi, żebym tak się do niego zwracała. Landru, a nie żaden Argan. Chciałabym panu powiedzieć, że czuję się bardzo szczęśliwa.

LANDRU: Może pani tak do mnie mówić na osobności. Ale nie róbmy tego na widoku publicznym.

LAURA: Dobrze, panie... Argan. *(szeptem, bardzo blisko Landru)* W tym samym miejscu, o tej samej porze, panie... Landru. *(radosny śmiech)*

LANDRU: *(całuje Laurę w rękę)* Do widzenia, Lauro.

LAURA: Do czwartku.

Laura odchodzi.

LANDRU: *(do Alvareza)* Jak się dostaniemy do pana do domu?

ALVAREZ: Weźmiemy taksówkę. Tak będzie najlepiej. I najszybciej.

Landru i Alvarez wychodzą.

WYCIEMNIENIE

SCENA IV

Dom Alvareza.

W jednym z pokoi kobieta śpiewa piękną romancę. Ma wspaniały głos. Akompaniuje sobie na fortepianie.

Alvarez nakrywa stół do herbaty na trzy osoby. Położył obrus. Krząta się wchodząc i wychodząc z porcelanowym serwisem.

Pod dom podjeżdża policja. Wycie syren, pisk opon, trzaskanie drzwiami samochodów, rozkazy wydawane krzykiem.

KOMISARZ: *(tylko jego głos)* Otoczyć kwartał! Człowiek co metr! Strzelać do podejrzanych!

Komisarz i sierżant wpadają do pomieszczenia z bronią w ręku. Zatrzymują Alvareza. Komisarz wydziera mu z rąk dzbanuszek. Wącha zawartość. Moczy palec, po czym go ssie.

KOMISARZ: *(do sierżanta)* Mleko, sierżancie.

ALVAREZ: Zimne mleko. Do herbaty.

KOMISARZ: *(a propos śpiewu)* Pańska żona?

ALVAREZ: Tak. To ona śpiewa.

KOMISARZ: Ładny głos. Jest świetna! *(do sierżanta)* Co pani sądzi, sierżancie?

Komisarz słucha w upojeniu. Sierżant nie odpowiada.

KOMISARZ: Powiedziałbym, że to kobieta, która nadaje się do czegoś więcej, niż mycie garów. *(do Alvareza)* Czemu chce pan ją zabić?

Alvarez nie chce odpowiedzieć, piosenka umilkła i słyszać brawa.

LANDRU: *(jego głos)* Brawo! Brawo!

Letycja, żona Alvareza wchodzi trzymana pod ramię przez Landru.

Komisarz przyjmuje ją brawami.

LETYCJA: Dziękuję, dziękuję. Słyszeli państwo?

ALVAREZ: *(nakrywając do stołu)* Nie było innego wyjścia. Ten człowiek krzyczał jak...

KOMISARZ: Ma pan dużo entuzjazmu, panie...

LANDRU: *(przedstawia się)* Tavernier. Pierre Tavernier.

LETYCJA: A co panu mówiłam, panie... *(zapomina nazwiska)*

LANDRU: Tavernier, Pierre Tavernier.

LETYCJA: Panie Tavernier. Prosiłam, żeby był pan bardziej rozsądny i nie krzyczał tak. *(do Alvareza)* Mało brakowało, a zaczęłby tupać.

Landru rozbawiony tupie rytmicznie.

LETYCJA: *(śmieje się na całe gardło)* Nie, nie! Nie, panie... *(znów zapomina nazwiska)*

LANDRU: Tavernier.

LETYCJA: Tavernier. Rozśmiesz mnie pan. Skończy się na tym, że sąsiedzi doniosą na policję. *(do Alvareza)* Pan Tavernier uważa, że jestem świetną śpiewaczką.

LANDRU: Słowik! Skowronek!

LETYCJA: Jestem zwykłą amatorką, nic poza tym, panie...

LANDRU: Tavernier. Także wspaniałą pianistką. Wprost złote ręce! *(bierze jej dłonie i obsypuje je pocałunkami)*

LETYCJA: Och, nie! Pan przesadza, przesadza jak...

Alvarez przerywa żonie. Podsuwa jej krzesło.

ALVAREZ: Kochanie.

LETYCJA: Dziękuję, skarbie. *(siada)* Pan Tavernier uważa, że powinnam...

Alvarez znów jej przerywa: podsuwa krzesło Landru.

ALVAREZ: Panie Tavernier, proszę, niech pan spocznie.

LANDRU: Dziękuję *(siada)* Tak, uważam, że...

LETYCJA: *(przerywa)* Skąd panowie się właściwie znają?

Wahanie, Landru i Alvarez patrzą na siebie.

LETYCJA: Słyszałam, że przyjaźnicie się od zawsze.

ALVAREZ: Od zawsze!

LANDRU: To już miliony lat jak się znamy. Tysiące!

LETYCJA: Niech zgadnę... Pozwólcie mi zgadnąć!

LANDRU: Oczywiście, że pani pozwolimy. No to, nasza kochana Letycjo, na co pani stawia?

LETYCJA: Ze studiów.

LANDRU: Trafiony zatopiony! Trafiła pani w dziesiątkę.

Wszyscy biją brawo, policjanci też.

LANDRU: Z uniwersytetu. Obaj studiowaliśmy medycynę.

ALVAREZ: Byliśmy bardzo młodzi. Nosiliśmy długie włosy.

LETYCJA: Proszę spojrzeć jak skończył mój mąż, panie...

LANDRU: Tavernier.

LETYCJA: Panie Tavernier, proszę spojrzeć jak skończył ten człowiek, ten obiecujący student. Jako kelner. To inaczej niż pan, bez wątpienia.

ALVAREZ: *(protestuje)* Letycjo!

LETYCJA: Nie mamy nic do ukrycia. A szczególnie przed panem *(malutkie wahanie, przypomina sobie)* Tavernier. On wie wszystko. Odbiliśmy długą rozmowę. Wypowiadałam mu się. Wie, że jesteśmy zupełnie różni, kochanie. Jak noc i dzień.

LANDRU: Pani...

LETYCJA: Tak, panie Tavernier? Mam zamilknąć? Mężę pana moją paplaniną?

LANDRU: Ależ skądże, proszę pani! Słuchać pani to rozkosz. Ale chciałbym prosić panią o podanie herbaty. To należy do pani. A poza tym stygnie.

LETYCJA: Oczywiście, to należy do mnie. Służyć gościom jest obowiązkiem każdej pani domu. *(z czajniczką w ręce)* Twoja filiżanka, kochanie. *(podaje Alvarezowi)* I pańska, panie...

LANDRU: Tavernier.

LETYCJA: Co ja mam za pamięć? Proszę mi wybaczyć. *(podaje mu filiżankę)* Komisarzu, filiżankę herbaty? Pani sierżant?

KOMISARZ: Proszę nam wybaczyć, ale nie możemy przyjąć zaproszenia. Jesteśmy na służbie.

LETYCJA: Oczywiście. Co za zawód... Jedno pasmo poświęceń.

KOMISARZ: Tytaniczna robota, proszę pani. Tytaniczna robota.

LETYCJA: Zaczyna się pan zniechęcać?

KOMISARZ: Nie, nie. W żadnym wypadku.

LETYCJA: Nic a nic? Ani odrobinę?

KOMISARZ: Niech sama pani powie, sierżancie. Niech sama pani powie, że nie czuje pani zniechęcenia. *(sierżant nie odpowiada)* Wiemy, że na koniec czeka nas nagroda.

LETYCJA: Co państwu obiecali?

KOMISARZ: Wakacje na Jamajce.

LETYCJA: Absolutnie zasłużone. Wie pan, co sędzę, komisarzu?

KOMISARZ: Nie, nie wiem. Ale chętnie byśmy się dowiedzieli. Sierżancie, proszę notować. *(sierżant nic nie robi)* Pani Letycja nam...

LETYCJA: Ofiary współpracowały z Landru.

KOMISARZ: Jak to? Niech pani powtórzy. Bardzo proszę, musimy się przyjrzeć tej koncepcji.

LETYCJA: Ofiary współpracowały z Landru. *(do sierżant)* Zanotowała to pani, sierżancie? Interesujący pogląd, prawda?

Sierżant nie odpowiada ani nie notuje.

LETYCJA: Mogę panu podszeptać coś jeszcze, komisarzu?

KOMISARZ: Ależ proszę bardzo, niech pani podszeptnie. Słuchamy pani z najwyższą uwagą.

LETYCJA: Posunę się dalej.

KOMISARZ: Proszę posunąć się dalej. Sierżancie, uwaga!

LETYCJA: Ofiara sama prowokuje go do popełnienia zbrodni.

KOMISARZ: *(do sierżant)* Proszę zanotować: ofiara sama prowokuje go do popełnienia zbrodni. *(sierżant nie notuje)* Twierdzi pani, że...

LETYCJA: Twierdzę, że te kobiety chcą umrzeć z rąk Landru. Stałyby na głowie, żeby to się stało. To one prowokują te zbrodnie. Pozwalają mu się zbliżyć i dają się omamić jak nastolatki.

KOMISARZ: Wie pani, że ta teoria wcale nie jest nowa?

LETYCJA: Niemożliwe! Czyli niczego nie wymyśliłam?

KOMISARZ: Niczego. Nawet tu sobie krąży. Ba! Znamy nawet jej gorliwego wyznawcę.

Wszyscy nagle spoglądają na Landru, przylapując go na wpuszczaniu Letycji kropel trucizny do filiżanki z herbatą. Mimo to rozmowa trwa dalej.

KOMISARZ: To zupełnie jak w teatrze. Każdy gra jakąś z góry ustaloną rolę w sztuce napisanej przez...

LETYCJA: Przez ofiarę!

KOMISARZ: Dokładnie!

LETYCJA: Ofiara reżyseruje przedstawienie.

KOMISARZ: Ależ oczywiście, że ofiara! Wszystko obraca się wokół pragnienia ofiary, nie przestępcy.

LETYCJA: Przestępca podporządkowuje się swojej roli! Staje się kukłą!

Marionetką! Musi zabijać, nie może nic na to poradzić! Nierówna walka, komisarzy. Co pan na to pocnie?

ALVAREZ: To jest już jak jakaś narada.

LETYCJA: Nudzi cię to, kochanie?

ALVAREZ: Herbata stygnie.

LETYCJA: *(bierze filiżankę, ale nie pije, dalej prowadzi konwersację z komisarzem)* Czy to prawda, że wszystkie umierają z uśmiechem?

KOMISARZ: Święta prawda. Potwierdza to pani hipotezę: sprawiają wrażenie, że właśnie otrzymały nagrodę zamiast kary.

LANDRU: Proszę pani...

LETYCJA: Tak, panie Tavernier? Ach, ten uśmiech. Taki sam jak mojego ojca. Kiedy mój ojciec czegoś chciał, właśnie tak się do nas...

LANDRU: Czekamy na panią. Do pani należy pierwszy łyk. Ja też nie lubię zimnej herbaty.

LETYCJA: Należy do mnie, oczywiście. Niech się pan przestanie uśmiechać w ten sposób! Proszę! Bardzo pana proszę! To mnie...

Letycja szybkim ruchem zamienia swoją filiżankę na filiżankę Landru. Po czym upija łyk.

Landru i Alvarez spoglądają na siebie. Pojedynek na spojrzenia. Alvarezowi nie udaje się temu zapobiec: Landru zabiera mu filiżankę, a podstawia swoją.

LETYCJA: *(do komisarza)* Niech mi pan opowie jak panu idzie dochodzenie. Podejrzewam, że niezbyt dobrze.

KOMISARZ: Żle, proszę pani. Bardzo źle. Kiedy nam się wydaje, że go mamy, wymyka nam się jak piskorz.

Alvarez robi roszadę na stole: oddaje Letycji jej filiżankę i odzyskuje nie zatrutą.

Letycja reaguje natychmiast: zamienia swoją filiżankę na filiżankę męża.

LETYCJA: Ile cierpliwości zostało jeszcze pańskim zwierzchnikom?

Alvarez próbuje się pozbyć zatrutej filiżanki. Letycja i Landru bronią się osłaniając swoją herbatę jak się tylko da.

KOMISARZ: Na razie mamy wsparcie. Silne wsparcie. Stoi za nami cała policja. Współpracujemy. Ramię w ramię. Mamy do dyspozycji najlepszych ludzi.

Alvarez wykorzystuje chwilę roztargnienia Letycji i zamienia jej filiżankę na swoją. Letycja z kolei „przekazuje” ją Landru, ten natychmiast zamienia ją na filiżankę Alvareza.

Alvarez robi kolejną zamianę. Letycja „naprawia”. Landru też. Zamiany, coraz więcej zamian. Już nie wiadomo, która filiżanka zawiera truciznę.

LETYCJA: Co się stanie, jeśli dziś znów się panu nie uda?

Alvarez wacha zawartość swojej filiżanki.

LANDRU: Niepotrzebnie pan to robi. Nie ma zapachu.

LETYCJA: Herbata stygnie.

Letycja podnosi swoją filiżankę. Czeką, aż wszyscy pójda za jej przykładem. Wszyscy unoszą swoje filiżanki.

Letycja rzuca wyzwanie: upija łyček.

Mężczyźni patrzą na siebie. Podejmują wyzwanie. Wypijają po małym łyku.

Letycja pije większy łyk.

Mężczyźni znów spoglądają na siebie. Naśladują Letycję.

Letycja wypija całą herbatę jednym haustem, do dna.

Mężczyźni wypijają całą herbatę, do dna.

LETYCJA: Jakie są pierwsze symptomy?

LANDRU: Zaczynają ciążyć nogi i ręce. Nie można ich unieść. Są jak z ołowiu.

Letycja unosi ręce, porusza nogami, wszystko z pełną swobodą.

LANDRU: Alvarez. Teraz pan.

Alvarez podnosi ręce i porusza nogami jak pajac.

Letycja i Alvarez patrzą na Landru. Czekają na pokaz.

Landru przebija Alvareza. Tańczy. Skacze.

Cisza.

ALVAREZ: *(do Landru)* To była bardzo mała dawka?

LANDRU: Przeanalizujmy inne objawy. Atakuje wzrok. Prawie natychmiast. Widzi się wszystko niewyraźnie.

LETYCJA: Ja pana widzę, Landru.

LANDRU: Tavernier, proszę pani. Tavernier.

LETYCJA: Proszę mi wybaczyć. Widzę pana wyraźnie. Bez żadnych zniekształceń. Pana. Mojego męża. Komisarza także, tam, odrobinę dalej.

Alvarez osuwa się na krzesło: ręce i nogi są jak z ołowiu. Spada na podłogę. Martwy.

LANDRU: Proszę pani, proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

LETYCJA: Dziękuję, dziękuję bardzo. Nigdy nie żyliśmy ze sobą dobrze. Szczerze mówiąc jak pies z kotem. To była wielka pomyłka, ale...

Komisarz i sierżant zbliżają się do zwłok, osłuchują je.

LANDRU: Poddaję się, komisarzu. To ja jestem Landru.

Sierżant podbiega i przystawia mu broń do potylicy.

KOMISARZ: Tavernier?

LANDRU: Landru. Tavernier to pseudonim, alias, zasłona. Właśnie zamordowałem tego mężczyznę. To ja dołałem trucizny do filiżanki. *(pokazuje flakonik)*

Komisarz dokładnie ogląda flaszeczkę.

LANDRU: Aztecka trucizna. Bardzo silna.

KOMISARZ: *(nieufnie)* Hmm... Nie umarł z uśmiechem.

LANDRU: To zupełnie inna sytuacja, komisarzu. Nie może pan tego porównywać. Alvarez był mężczyzną.

KOMISARZ: Aha. Mężczyzną. Sierżancie, proszę to zanotować.

Sierżant niczego nie zapisuje. Dalej trzyma broń przystawioną do głowy Landru.

Komisarz sprawdza płęć trupa, jak zwykle sumienny.

KOMISARZ: Płeć... Płeć męska.

Sierżant Marta wybucha. Mówi, a właściwie krzyczy, po raz pierwszy.

SIERŻANT: To bzdura! Totalna bzdura! Pan nie jest Landru! Nie może pan nim być! Nie jest pan Landru, bo Landru zabija tylko kobiety! Kobiety i nikogo poza kobietami!

Sierżant Marta wychodzi.

Komisarz biegnie za nią, nawołując swoich ludzi.

KOMISARZ: Zwijamy się stąd! Znowu pudło! Do samochodów! Wszyscy wracają na komendę!

Policja wycofuje się. Wielki rwetes.

ALVAREZ: *(na podłodze, otwiera jedno oko)* Poszli?

LETYCJA: *(przestrasza się, wydaje z siebie mysi pisk)* Aia!!! *(przytula się do Landru)*

ALVAREZ: *(do Letycji, wstając z podłogi)* Ale brudna ta podłoga! Tylko fortepianik i śpiewanko w głowie, a nie ma komu wytrzeć podłogi jak Bóg przykazał.

LETYCJA: Co się tu dzieje? Wytlumaczcie mi natychmiast o co tu chodzi.

ALVAREZ: Udawałem martwego. Czuję się zupełnie dobrze. *(porusza rękami i nogami)* Udawałem, że...

LETYCJA: *(odczuwa pierwsze objawy)* Widzę wszystko zamazane. Tak nagle wszystko pociemniało. Może mnie pan podtrzymać, panie Landru? Mogę umrzeć w pańskich ramionach?

LANDRU: Oczywiście, że tak. Podtrzymam panią. Proszę umrzeć w moich ramionach.

LETYCJA: Dziękuję, panie Landru. Bardzo panu dziękuję.

Letycja umiera z uśmiechem.

LANDRU: Misja wypełniona. *(kładzie zwłoki na podłodze)* Może mi pan podziękować, Alvarez. Właśnie zabiłem pańską żonę.

ALVAREZ: To pan mnie powinien podziękować.

LANDRU: Przecież właśnie o to mnie pan prosił.

ALVAREZ: Gdzie teraz jest komisarz Sosa? Wie pan gdzie? Proszę mi powiedzieć, chcę to usłyszeć.

Cisza. Landru nie wie co ma odpowiedzieć.

ALVAREZ: Bo ja wiem gdzie. Daleko, panie Landru. Daleko. Zagubiony. Zdezorientowany. Właśnie zgubił trop Landru. A był blisko. Miał go w zasięgu ręki. Ale ja udałem martwego i zrobiło się zamieszanie. Landru nie zabija mężczyzn. *(śmieje się)* Nie, oczywiście że nie.

LANDRU: Dziękuję panu.

ALVAREZ: Do momentu, w którym komisarz odnajdzie trop, może pan pracować w spokoju, bez wrażenia że ktoś depcze panu po piętach.

LANDRU: Jest pan świetnym aktorem, Alvarez.

ALVAREZ: Kelnerem. Tylko zwykłym kelnerem, Landru. Tylko tyle. Kiedyś studiowałem na uniwersytecie, ale teraz podaję do stołu w... *(zatrzymuje Landru kierującego się do wyjścia)* Chwileczkę, panie Landru. Kiedy pan przyśle po fortepian?

WYCIEMNIENIE

EPILOG

Elegancka restauracja.

Okrągły stół przykryty białym obrusem. Przy stole siedzi sierżant Marta. Zamieniła swój surowy kostium kobiety – policjanta na długą suknię. Ramiona i plecy odkryte. Biżuteria, dużo biżuterii.

Sierżant Marta siedzi i czeka w półmroku. I w ciszy.

Alvarez, kelner (z czarną opaską na rękawie białej marynarki) wychodzi sam na spotkanie Landru, który właśnie się pojawił.

ALVAREZ: Jakaś dama czeka na pana przy stoliku, panie... *(czeka)*

LANDRU: Garaudy. Jean Paul Garaudy.

ALVAREZ: *(powtarza sobie żeby zapamiętać)* Jean Paul Garaudy. Jakaś dama czeka na pana przy... *(Landru już jest przy stole)*

LANDRU: Błagam panią o wybaczenie, najdroższa. *(całuje sierżant w rękę)* Miałem problemy z dojazdem. Straszny karambol na drodze, który... Spóźniłem się.

SIERŻANT: To tylko parę minut, panie Garaudy. Proszę, niech pan siada.

LANDRU: Dla mnie to wieczność. Wieki całe!

SIERŻANT: Czekałam bez zniecierpliwienia, panie Garaudy. Byłam bardzo spokojna. Wykorzystałam ten czas na myślenie. Widzę, że szczęście się zbliża i muszę zdecydować co z tym zrobić, panie Garaudy. Zrozumiałam, że muszę zrobić wszystko co możliwe, żeby złapać je z całej siły. Podjęłam decyzję, że... Na co pan tak patrzy, panie Garaudy?

Rzeczywiście, Landru uporczywie się w nią wpatruje.

SIERŻANT: Na co pan patrzy? Co pana tak...

Landru wyciąga rękę.

Sierżant myśli, że dotknie jej twarzy. Wzdryga się. Gwałtownie odskakuje.

LANDRU: Spokojnie! Nie mam zamiaru zrobić pani najmniejszej krzywdy.

SIERŻANT: Przepraszam. Przepraszam, panie Garaudy. Zachowuję się jak dzikuska. Wiem o tym. Ale to dlatego, że od tak dawna nie dotykał mnie żaden mężczyzna, nikt mnie nie pieścił...

Sierżant „wystawia” twarz tak, by znalazła się w zasięgu ręki Landru. Mężczyzna głaszcze ją delikatnie, a później bawi się kolczykiem, który studiuje dotykając opuszkami palców.

SIERŻANT: To klejnoty rodzinne. *(zdejmuje kolczyk, podaje mu)* Odziedziczyłam je po mojej ciotce księżnej, która mieszkała na południu Francji. A dokładniej w Biarritz.

Landru staje się podejrzliwy, widać że jej nie wierzy.

SIERŻANT: O co chodzi panie Garaudy? Moja ciotka miała je na sobie podczas ceremonii koronacyjnej króla... Dalej pan na mnie patrzy? Co...?

LANDRU: Podróbka, droga pani. Malowane blaszki i obsadzone w nich kolorowe szkiełka. Co to ma znaczyć?

SIERŻANT: Oczywiście! Tania podróbka, Landru! *(wyjmuje broń z torebki, mierzy w niego)* Malowane blaszki, jak pan mówi. Ja wiedziałam, że tym pana nie oszukamy, panie Landru. Jest pan bardzo przebiegły!

LANDRU: Ależ Marto..., moja kochana Marto... Myli mnie pani z kimś. Ja jestem Jean Paul Garaudy. Kupiec w branży...

SIERŻANT: *(„odziera się” z biżuterii)* Nie można oszukać pana takim szmelcem jak ten. Mówiłam to, Landru. Powtarzałam po tysiąc razy, ale nikt nie chciał mi wierzyć. Na szczęście zareagował pan późno. Już wpadł pan w pułapkę. Teraz już nie można się wycofać. Słyszysz pan?

Landru słyszy: nadszedła policja.

SIERŻANT: Już nie ma pan możliwości ucieczki, Landru.

Cisza.

SIERŻANT: Mój list?

LANDRU: Przyniosłem go ze sobą. *(wyjmuje list z kieszeni)* Oto on.

SIERŻANT: Proszę mi go dać!

Landru nie chce jej oddać listu.

SIERŻANT: *(wydaje rozkaz)* Więc niech pan mi odda przysługę i go spali. Tak, żeby nie został nawet ślad.

LANDRU: Piękna z pani przynęta.

SIERŻANT: Gentelman aż do końca. Dziękuję za komplement.

Landru zabiera się do czytania listu.

SIERŻANT: Nie! Mówiłam, proszę go spalić!

LANDRU: *(znów rzuca wyzwanie, czyta)* „Czuję, że od momentu w którym zaproponował pan żebyśmy się spotkali, moje serce bije inaczej.” Proszę pani, to bardzo natchnione zdanie. W dwóch liniijkach udało się pani oddać stan ducha, który...

SIERŻANT: Ani słowa dalej. Tylko dotąd. Dotąd panu pozwalam.

LANDRU: *(czyta)* „Odkąd pamiętam, tylko raz w życiu przydarzyło mi się coś podobnego...”

SIERŻANT: Basta, Landru! Rumienie się! Niech pan patrzy! Jestem czerwona ze wstydu. Proszę natychmiast przestać czytać! To rozkaz!

LANDRU: *(kontynuuje)* „To było w czasach mojej młodości. Byłam jeszcze bardzo młodziutka. W domu był zwyczaj przyjmowania gości. Zaczęłam zwracać uwagę na chłopaka, który...”

SIERŻANT: Ten chłopak nie przychodził z wizytą z mojego powodu!

LANDRU: Olala! Mam powiedzieć jak to dalej było? Tu mi pani wyznaje, że...

SIERŻANT: Kłamstwa! Nigdy mnie nie pocałował, nigdy mnie...! Przychodził do mojej siostry, nie do mnie. Bardzo płakałam, Landru. Ale minęło już dużo czasu. Oni się pobrali i obdarowali mnie trzema boskimi siostrzeńcami.

LANDRU: Nigdy w życiu bym nie pomyślał, że to spotkanie będzie z sierżant Martą z Brygady Kobiecej. Poruszył mnie podpis.

SIERŻANT: Na to już panu nie pozwolę! Podpisu nie! Niech pan go nie czyta!

LANDRU: *(czyta)* Bardzo samotna Marta.

SIERŻANT: Och, umieram ze wstydu! Co za hańba! Że też przyszło mi do głowy podpisać się w ten sposób, co za głupota...

Landru zapala zapalkę. Pali list.

SIERŻANT: Dziękuję.

Cisza. List płonie.

SIERŻANT: Co pan robi żeby je uwieść, panie Landru?

LANDRU: Nie ma reguły. Każdy przypadek jest inny.

SIERŻANT: A ze mną? Jakby pan to zrobił ze mną?

LANDRU: Spojrzenie. *(patrzy na nią)*

SIERŻANT: Ach, łajdak! Już zdał sobie sprawę, że nie mam zbroi, która by mnie ochroniła przed tymi oczami. *(zasłania się)*

Cisza.

Landru nadal na nią patrzy. Ona ciągle się zasłania.

SIERŻANT: Spojrzenie samca podczas rui. To właśnie to. Czujemy się, jakbyśmy były rozbierane. Stój!

LANDRU: Nie ruszyłem nawet palcem, sierżancie.

SIERŻANT: Proszę spuścić wzrok! Rozkazuję panu to zrobić!

Landru spuszcza wzrok. Marta odsłania się. Śmieje się.

SIERŻANT: I co teraz, Landru? Został pan bez pazurków. Co mógłby pan teraz zrobić? Przychodzi panu do głowy jakiś sposób? Zabraniam panu patrzeć na mnie! Niech pan nie liczy na ten straszny instrument jakim są pańskie oczy. Co by pan zrobił?

LANDRU: Użyłbym fortelu.

SIERŻANT: Hmmm... Niemożliwe. Byłabym przygotowana na wszystko. Nie pozwoliłabym, żeby...

Landru robi tygrysi skok. Obejmuje ją.

SIERŻANT: Bo do pana strzelę, Landru. Niech pan mnie puści! Proszę nie zapominać, że mogę pana zabić.

Landru odbiera jej broń.

SIERŻANT: Poproszę o wsparcie! Wezwę...

LANDRU: Poprosić o muzykę?

SIERŻANT: Nie umiem tańczyć, panie Landru. Zbędna fatyga. To nie będzie przyjemne. Ja nie... Nigdy.

LANDRU: Tam mamy orkiestrę. Czekaj. *(pokazuje)*

SIERŻANT: *(patrzy)* Sami czarni, Landru. Sami kolorowi.

LANDRU: Znają mój gust. Na jeden mój znak zagrają bluesa.

SIERŻANT: Co to takiego?

LANDRU: Melancholijna muzyka, która zdaje się przylepiać do ciała jak jedwabne

prześcieradło do spoconej skóry.

Landru daje znak. Muzyka: „Smutny motyl”

Tańczą.

SIERŻANT: Ostrożnie, panie Landru. Boję się, żeby nie nadepnąć panu na nogę. Pańskie buty błyszczą jak dwa lustra i ja...

LANDRU: Zamówić szampana?

SIERŻANT: Czeką pana więzienie, Landru.

LANDRU: Żadna nowość. Wiem.

SIERŻANT: Surowy wyrok. Dożywocie. Może nawet kara śmierci. Szubienica, Landru. Gilotyna, egzekucja. Proszę mi pozwolić, a pomogę panu uciec po dachach. Trzeba tylko znaleźć okno, przez które da się wyjść. Ja...

LANDRU: Alvarez! *(daje tym razem inny znak)* Szampan!

ALVAREZ: *(jego głos)* Szampan bien frappe. Do stolika pana Garaudy!

Landru całuje Martę.

SIERŻANT: Pocałował mnie pan! Właśnie mnie pan pocałował, Landru! Mnie...

LANDRU: Mam zwyczaj gasić pożary benzyną, proszę pani. Takie przyzwyczajenie, którego nie mogę się pozbyć.

SIERŻANT: Ze mną potrzebna byłaby panu tylko jedna zapalka, Landru. Jedna zapaleczka. Spaliłabym się żywcem jak sucha gałązka. Płomienie zrobiłyby się duże, ogromne, jak... Jestem gotowa panu pomóc, Landru! Zasługuje pan by żyć!

Sierżant uwalnia się z objęć. Wybiega.

SIERŻANT: Nie, nie, ten człowiek to nie Landru! Pudło! Znowu spudłowaliśmy! To pomyłka! Ten człowiek to nie Landru! Ten człowiek to...!

Strzały.

Cisza.

Wchodzi komisarz.

KOMISARZ: Landru, poddaj się!

Landru poddaje się. Komisarz zakłada mu kajdanki.

KOMISARZ: Umarła z uśmiechem. Pańska wizytówka, Landru. Pański znak nie dający się pomylić z niczym innym.

Komisarz wyprowadza Landru.

Wchodzi Alvarez, niesie tacę z szampanem. Widzi ich wychodzących. Daje znak i orkiestra milknie jak nożem uciął.

KURTYNA

Kontakt z tłumaczką:

Rubi Birden

e-mail: rubi@rubi.pl

rubi@post.pl

Więcej tekstów na stronie

www.rubi.pl

Zapraszamy!